

William Kennedy



**Zielone
Berety**

William Kennedy

Zielone Berety

Przekład: Joteł

ESPADON PUBLISHING
W A R S Z A W A 2020

1

Atak

Dave Baldinger uniósł zaczernioną twarz i nasłuchiwał.

Dźwięki. Z prawej, z bagnistej kałuży nad powalonym drzewem, woda ścieka do wąziutkiego strumyczka. Ptaki pokrzykują w koronie lasu. Szelest liści.

Odgarnął trawę, która zasłaniała mu widok na zbocze.

Jakiś ruch. Może szczur polujący na jaszczurkę? Kołyszące się koniuszki żdźbeł. Promyki światła między gałęziami.

Ale wokół chatki ani śladu życia. Baldinger uważnie wpatrywał się w opary nad bagniskiem. Krzywo poskładane ściany, zwieńczone zgniłą strzechą. Domek przycupnął na maleńkiej polance nad strumykiem, a ściany wtapiały się w roślinność dżungli.

Jego szczupłe ciało podsunęło się jeszcze o kilka centymetrów. Bardzo uważał, by nie poruszyć trawiastej osłony. Czekał, czy jakiś znak nie zdradzi strażników. Może plan się powiodł? Być może podchodząc od strony trzęsawiska, nie zaś twardego gruntu, zastał ich nieprzygotowanych.

Cofnął się i bezgłośnie zsunął po stoku do miejsca, gdzie czekał Luther Brown, niemal niewidoczny pod stertą zeschniętych gałęzi.

– Wy atakujecie – szepnął Baldinger.

– Dzięki – szyderczo uśmiechnął się Brown.

– Obejdiesz pagórek od zachodu. Jak długo się da, nie wychodź spomiędzy drzew; kiedy znajdziesz się na tyłach, skacz. – Mówiąc to, Baldinger kreślił trasę patykami w błocie.

– A jeśli w chacie nie będzie żadnych okien? – spytał tamten.

– To zrób jakies! Będziemy blisko, ale zaczniemy dopiero, kiedy otworzysz ogień. Ruszaj. Może zaskoczymy tych sukinsynów.

Brown uniósł się na czworaka i pomachał do Meksa Cortinesa, Bobby'ego Longa i Arta Waltersa. Śladem Luthera szybko zniknęli w gęstwinie.

Baldinger przeczołgał się jeszcze niżej, potem okrążył wyschnięty staw, aż wreszcie przez podmokłe zarośla wy dostał się na twardy grunt.

– Bang, bang, nie żyjesz! – Willie Derry siedział oparty o zbutwiały pień i wskazującym palcem mierzył w twarz Dave'a. Karabinek M-16 ułożył na wyciągniętych udach.

– Wydaje się opuszczona, Willie. Chyba że zamknęli się w środku.

– Pewnie zabrali lotnika i się wynieśli. Dlaczego nie pójdziemy w ich ślady?

Baldinger zignorował żart. – Luther zajdzie ich od tyłu. Ty z chłopakami przyczaisz się nad strumieniem i pokryjesz wejście. Jeśli wyskoczą, wpadną wprost na ciebie.

– Kto osłania mi dupę? – zapytał zdawkowo Derry.

– Nikt i dlatego zostaw za sobą kilka pułapek z granatów.

– Gdzie ty będziesz?

– Na szczycie pagórka razem z Dickiem. Jeśli dojdzie do strzelaniny, będziemy was osłaniać.

– Jeśli dojdzie do strzelaniny, to nasz pilocik przejedzie się w plastikowej torbie – mruknął Willie. Uniósł się na jedno kolano i dotknął dłonią tropikalnego kapelusza o obwisłym rondzie. Za nim uniosły się z trawy poczernione twarze.

– Jim Ray i Tony, ze mną. Cavitt, zrób pułapkę z granatów, a potem wal za nami. – Cavitt odwrócił się, by pokazać kciuk Dave'owi, ten jednak zniknął już w zaroślach.

Baldinger otrzymał zadanie nad ranem, gdy niebo dopiero zaczynało się leciutko rozjaśniać. Policzył chłopaków wsiadających do ciężarówki, a potem wskoczył za nimi. Z bazy pojechali w kierunku wzgórz, skręcając z drogi na wyboistą ścieżkę w momencie, gdy rozwidniło się już na tyle, iż stawali się dobrym celem. Następnie zanurzyli się w lesie, mając

jedynie kompas, znaczek X, wskazujący na mapie punkt docelowy i małą radiostację na wypadek, gdyby znaleźli się w tarapatach.

– Przedzieranie się przez dwanaście kilometrów tego gówna może zabrać cały dzień – uprzedził ich starszy sierżant Thompson – ale musicie się pospieszyć. Żółtki pewnie ściskają temu biednemu sukinsynowi jaja w imadle. Warto żebyście o tym pamiętali, zanim zrobicie postój na kawę.

Gdyby mogli się trzymać twardego terenu, nawet przy ostrożnym marszu wystarczyłoby im pięć godzin. Tyle że najpewniej wszystko byłoby na nic. Ludzie z Wietkongu dobrze wiedzieli, że Amerykanie trzymają się solidnych, szybkich dróg, i tam właśnie urządzali zasadzki. Żaden problem, jeśli chodziło o normalny oddział piechoty czy zadanie typu „Zlokalizuj i zniszcz”. Żółtki robią zasadzkę, a ty wzywasz helikoptery. Ale to był oddział specjalny, a zadanie należało do gatunku „Uderz i znikaj”. Mieli odnaleźć zestrzelonego pilota, który znał rozmieszczenie oddziałów „Zlokalizuj i zniszcz”. Musieli namierzyć faceta, zanim tamci naderwą mu jądra i wszystkie patrole znajdą się w niebezpieczeństwie. A kiedy go już wykryją, muszą dostać żywego. Ostatnią rzeczą, jakiej mogli pragnąć, była strzelanina, za wszelką cenę musieli unikać kontaktu z nieprzyjacielem.

Baldinger postanowił przedrzeć się przez trzęsawiska. Posuwali się wolniej i znacznie łatwiej było zabłądzić. Ale pod osłoną bagnistej dżungli mieli szansę ominąć zwiadowców, trzeba było tylko brnąć do przodu. A poza tym z dwunastu kilometrów robiło się dziewięć.

– Mokraś? – sprzeciwił się Willie, a pod uniesionym kapeluszem ukazała się płomińście ruda czupryna. – Cholera, nie wziąłem spreja na robaki.

– Nie będzie żadnych robaków. – W hebanowoczarnej twarzy Luthera Browna zaśniły białe zęby. – Węże muszą się czymś odżywiać.

– Ach, węże – zainteresował się Willy. – To zmienia całą sprawę. Jeśli są węże, to nie będzie komarów.

Kiedy z drogi zanurzyli się w dżungli, Art Walters dał wyraz swoim niepokojom.

– Wiesz co, nie bardzo przepadam za węzami. Mówiąc szczerze, mam moko w gaciach, kiedy o nich słyszę.

Willie zaśmiał się radośnie.

– Opanuj się, Art, nie słuchaj Luthera. Tam nie ma żadnych węży.

– Pewien jesteś?

– Jasna sprawa. Jeśli nawet były, to dawno zeżarły je krokodyle.

Stanowili standardowy oddział specjalny „A”, działający bez dwóch regulaminowo przypisanych mu oficerów. Każdy był fachowcem w innej dziedzinie, przeszedł też podstawowe przeszkolenie w specjalnościach pozostałych kolegów. Baldinger był od łączności. Art Walters miał przeszkolenie medyczne: chirurgia, potem specjalizacja w internie. Dickie Morgan został specem od mechanizmów i broni strzeleckiej. Wiedza Toma Cavitta na temat materiałów wybuchowych i eksplozji pozwalała zrównać z ziemią drapacz chmur. Cała dziesiątka biegle posługiwała się w sumie pięcioma obcymi językami.

Baldinger zdecydował, że pójda kolumną. Niewątpliwe ryzyko. Właściwie powinien rozrzuć patrol w tyralierę, a przynajmniej wyznaczyć ludzi do zabezpieczenia flank. Gdyby w jednym szeregu nadziali się na nieprzyjacielski karabin maszynowy, zostaliby wystrzelani jak kaczki. Gotów był się jednak założyć, że żółtki przypilnują tras na twardym gruncie. Prawdziwym przeciwnikiem była gęsta roślinność i bagno, które bez trudu potrafiło połknąć nieostrożnego śmiałka.

Z początku posuwali się szybko; płytkie rozlewiska wyraźnie wskazywały drogę pośród krzewów. Dickie Morgan, najroślejszy facet w oddziale, bez trudu dźwigał na barkach karabin maszynowy SAW. Ciężkie torby amunicyjne jak szarfy zwisały z szyi Meksa Cortinesa. Natrafili na łożysko wyschniętego potoku, niemal prostą linią biegnące przez gęstą roślinność, i Dave Baldinger kazał przyspieszyć. Nieźle idzie, pomyślał, przypominając sobie rozterki związane z porzuceniem twardego terenu. Dwa kilometry pokonali w mniej niż

dwadzieścia minut. Nawet kiedy dno wypełniło się mulistą wodą, linia brzegu ciągle stanowiła wyraźną wskazówkę.

Łóżysko zrobiło się grząskie, z bladymi źdźbłami trawy sterczącymi nad wodą. Baldinger nakazał marsz środkiem. Cortines nagle zapadł się po piersi, ciężka amunicja niemal go zatopiła. Idący tuż za nim Bobby Long zniknął pod wodą, trzepocząc rozpaczliwie rękami. Meks Cortines znalazł jakieś oparcie i złapał Bobby'ego za szelki plecaka. Dave Baldinger i Luther Brown podczołgali się i wyciągnęli obydwu.

Baldinger postanowił teraz okrążyć trzęsawisko, a ponieważ sięgało ono po obu stronach daleko w dżunglę, skierował oddział w gąszcz. Miał nadzieję, że uda im się wyminąć mokradła.

Musieli przedzierać się przez ciasno rosnące obok siebie drzewa. Szli jeden za drugim, przytrzymując gałęzie, aby boleśnie nie chłostały idącego z tyłu. Karabinki zaczepiały się o liany. W płataninie drzew i krzewów Dickie najpierw przepychał karabin maszynowy, a dopiero później przeciskał się sam. Pół godziny zabrała im przeprawa na drugą stronę bagna, a wtedy zobaczyli miejsce, w którym niemal utopili się Meks i Bobby. Zbliżyli się o pięćdziesiąt metrów do miejsca przeznaczenia.

– Muszę odpocząć – wysapał Art Walters, spoglądając na pokrwawione ramiona i dłonie. – Ta kurewska dżungla rozrywa człowieka na strzępy. – Zaczął zdejmować oporządzenie.

– Idziemy – mruknął Baldinger. – Zostało nam tylko pół godziny. – Ruszył korytem, zanim ktokolwiek zdążył zaprotestować, a reszta podążyła jego śladem.

– To kurewstwo jest ciężkie jak jasna cholera – poskarżył się Dickie Morgan, zarzucając znowu na plecy SAW-a i starając się nadążyć za Baldingerem.

Po jakichś dziesięciu minutach łóżysko rozplynęło się w następnym mokradle. Baldinger miał już dość walki z dżunglą i nakazał marsz przez wodę. Szedł ostrożnie, starannie badając teren przed każdym krokiem, a bagnista woda sięgała coraz głębiej, po kolana, do pasa. Podciągnął paski plecaka i uniósł broń nad głowę. W połowie rozlewiska był zanurzony do piersi.

– Uważaj, żeby nie obudzić krokodyli – szepnął Willie do Arta.

– Jezus Maria, Willie, nie rób mnie w konia, dobra? – Oczy Waltersa niespokojnie myszkowały po rozlewisku. – Przecież tu nie ma krokodyli. –

– W takim razie musisz się pilnować węży – odparł Derry.

– Dajcie już sobie spokój, dobra – rzucił Baldinger przez ramię. Zobaczył, jak Meks, trzeci w kolumnie, szarpie się z paskami karabinka, który trzymał wysoko nad głową. Był silny jak tur, ale najniższy w patrolu, a woda sięgała mu już do zadartego podbródka.

– W porządku, Meks?

Latynos kiwnął głową.

– Zasuwasz, wydamy się w końcu z tego gówna.

Kiedy wyrwali się już z bagniska, natrafili na kolejną partię gęstej dżungli. Znowu zaczęło się przekazywanie gałęzi, każdy metr zdobywali z mozolem, a Baldinger musiał przystawać co minutę, aby upewnić się co do kierunku.

Głupie posunięcie, pomyślał. Trzeba było jednak zdecydować się na suchy teren. Więcej czasu tracili na pokonywanie przeszkód, niż zajęłoby im przedarcie się przez ewentualną zasadzkę. Ze strachem zaczynał się zastanawiać, czy aby nie chodzą w kółko, i ani o metr nie zbliżają się do chatki oraz pojmanego pilota.

– Jeśli powiesili go za jaja, to teraz śpiewa już sopranem – odezwał się Cavitt.

– A my zawiśniemy obok niego, jeśli Dave coś spieprzy – dodał Tony.

Gałąz wyśliznęła się Artowi z dłoni i chlasnęła Dickiego po twarzy. Krzyknawszy z bólu, zwałił się na plecy, a karabinek zaklekotał, uderzając w manierkę na piersi. Spomiędzy palców przytkniętych do oka popłynęła krew. Natychmiast przykleknął przy nim niezamierzony winowajca.

– Jezu, przepraszam. Wyleciała mi z ręki.

Dickie jęknął.

– Przysięgam, Dickie, że uważałem – zaklinał się Art.

Baldinger nachylił się nad nimi.

– Tylko się nie rozplącz, co? Zajmij się tym, jesteś medykiem. I migiem, nie możemy trać czasu.

Dave odsunął ręce Morgana, żeby zobaczyć twarz. Policzek był przecięty, a z nosa sączyła się krew. Art zrzucił plecak i wydobył torbę sanitarną. Kiedy opatrywał twarz Morgana, Derry przysiadł na ziemi.

– Nie za wygodnie ci? – mruknął Dave. – To żaden postój.

– Wygodnie? – parsknął Dave, wskazując na roślinność gęsto pokrywającą każdy centymetr kwadratowy. – Nawet karaluchowi nie byłoby tu miło.

Art nakładał maść z antybiotykiem na policzek Dickiego. – Niewiele da się zrobić z nosem – powiedział przeproszającym tonem. – Nie jest złamany i zaraz powinien przestać krwawić.

Meks sięgnął po karabin maszynowy i przewiesił go sobie przez pierś na torbach z amunicją. – Wezmę go na razie – powiedział, wręczając Dickiemu swój karabinek. Podążyli za Baldingerem, który znowu zaczął przedzierać się przez gąszcz. Upływała druga godzina, a oni nie pokonali jeszcze pięciu kilometrów.

Dotarli na skraj następnych mokradeł, te jednak ciągnęły się równolegle do trasy ich marszu. Woda nie głębsza niż po kostki pozwalała posuwać się o wiele szybciej, niż gdyby musieli przedzierać się między drzewami. Humory poprawiły się, jak tylko przyspieszyli kroku.

– Dzięki, Meks – powiedział Dickie, zarzucając karabin maszynowy na plecy.

– Już w porządku? – zapytał tamten.

– Tak. Złapałem drugi oddech.

Przez następną godzinę maszerowali pomiędzy gęstwiną po lewej i bagniskiem po prawej. Baldinger nieustannie spoglądał na kompas. Igła nawet nie drgnęła. Byli coraz bliżej.

Ale pojawił się następny przeciwnik. Słońce świeciło wysoko nad listowiem. Nad zielonkawą wodą pojawiła się mgła i dżungla zaczynała parować. Coraz trudniej było oddychać.

– Trzeba odpocząć – szepnęła do Dave’a Bobby.

– Nie mamy czasu – rzucił Luther, nawet się nie odwracając.

– A kto cię, kurwa mać, pytał o zdanie – obruszył się Bobby Long. – To Baldinger dowodzi.

Luther przepchnął się obok Bobby’ego.

– O co ci w ogóle chodzi? Na Amsterdam Avenue bywa czasami cieplej.

– Tak? To jak będzie twój patrol, pójdziemy odbić kogoś na Amsterdam Avenue. Ja w każdym razie mam dosyć.

– Trzy minuty – obwieścił Baldinger. Zdjął karabinek, wyszedł z wody i przysiadł na brzegu; reszta zrobiła to samo. Dave wyjął mapę i spojrzął na zegarek. Dickie obmacywał twarz, nos już nie krwawił.

– Trzy minuty? – zapytał z pretensją w głosie Willie. – Przez gówniane trzy minuty nawet oddech mi się nie wyrówna.

– Trzy minuty to kupa czasu, jeśli wisisz na jajach – zauważył Meks. – Albo jeśli wlewają w ciebie terpentynę.

Willie poderwał się gwałtownie.

– Ma, cholera, rację – rzucił pod adresem Dave’a.

– Tak.

Następny wstał Dickie.

Baldinger podniósł się, widząc, że cały oddział czeka tylko na niego.

– Od tej chwili obowiązuje cisza. Żadnych rozmów. Idźcie ostrożnie. Żadnego taplania się w wodzie. Willie, ty prowadzisz. I rozglądaj się, żebyśmy czasem nie wleźli im na werandę.

Szli teraz bardzo ostrożnie. Pięćdziesiąt metrów z przodu Willie badał teren, a następnie kiwał na pozostałych. Potem zluźował go Luther. Co jakiś czas zmieniali się na szpicy. Mokrądo stało się teraz błotnistą ścieżką w gęstwinie. Dave przepuścił idących, aż znalazł się koło Toma.

– Połóż pułapki z granatów po obu stronach strumienia – polecił. – Jeśli ktoś za nami idzie, dobrze byłoby o tym wiedzieć.

Cavitt zatrzymał się i wydobył zza pasa dwa granaty. Było to rutynowe działanie. Z ręcznych granatów łatwo sporządzało się minę, zdejmując zawleczkę i blokując łyżkę czymkolwiek co znalazło się pod ręką. Jeśli ktoś przypadkowo trącił blokadę, granat wybuchł. Prosty sposób na zabezpieczenie się przez podstępnyimi intruzami.

Luther był na przedzie, kiedy natknęli się na kolejne trzęsawisko, ciągnące się aż do stóp wzgórza. Przycupnęli na skraju wody, Luther przebył bagno i poczołgał się po stoku, by po chwili wrócić do kolegów. Dał im znak, żeby zostali w miejscu, a potem zsunął się po zboczu.

- Jest po tamtej stronie. Mniej więcej sto metrów – oznajmił Baldingerowi.
- Jacyś wartownicy? – zapytał Dave.
- Nic. Tylko chałupka.

Połowie oddziału pod dowództwem Deny'ego Dave kazał obejść wschodni brzeg bagna. Luter z trzema chłopakami zajął zachodnie zbocze. On sam z Dickiem przebrnął przez wodę, a potem zostawiwszy tamtego u podnóża, wczołgał się na szczyt Luther miał rację. Niezauważeni znaleźli się w bezpośredniej bliskości celu. Może żółtki z pilotem nie dotarli jeszcze do chatki. A jeśli dotarli, to nie zdążyli rozstawić posterunków.

Szykowali się do ataku; Luther od zachodu miał zająć cel od tyłu, Willie wzdłuż wschodniego brzegu miał wyjść na front chałupki. W powrotnej drodze na szczyt Dave zabrał ze sobą Dickie'go. Muszą ustawić karabin maszynowy tak, by nie było ich widać na tle nieba.

Brown podejdzie najbliżej, dlatego też to on musi dać sygnał do rozpoczęcia natarcia. Jeśli chata okaże się pusta, wtedy przyczają się i będą czekać. Najlepszym rozwiązaniem byłoby złapać tamtych na odkrytej przestrzeni, kiedy będą zbliżać się wraz z jeńcem. Gdyby jednak w chatce był jakiś ruch, Luther natychmiast uderzy. Być może oficerowie Wietkongu jeszcze się nie zjawili i znajdują tylko dwóch czy trzech żołnierzy pilnujących więźnia. W tej sytuacji, odbiwszy pilota, powinni jak najdalej odskoczyć od miejsca akcji. Nieźle byłoby złapać przy okazji jakiegoś dowódcę żółtków, ale rozkaz mówił jedynie o uwolnieniu lotnika. Klasyczna akcja typu „Uderz i zniknij”.

Baldinger lekko uniósł głowę i spojrzał poprzez zasłonę zarośli. Drzwi chatki, przedtem zamknięte, teraz stały otworem. W środku coś się poruszyło. Na progu pojawiła się postać odziana na czarno, z pistoletem maszynowym niedbale wetkniętym pod pachę. Mężczyzna rozejrzał się po ścianie lasu otaczającego chatkę, potem zmrużonymi przed słońcem oczyma wpatrzył się w szczyt pagórka. Nie było w tym żadnej podejrzliwości: Wietnamczyk bardziej zachowywał się jak turysta niż czujka. Przeciągnął się i ruszył leniwym krokiem za róg chatki, jak strażnik pewny tego, że z żadnej strony nie grozi niebezpieczeństwo.

Kurwa mać, pomyślał Baldinger. Te sukinsyny spodziewają się nas. Jeśli zdmuchniemy ich wartownika, dla reszty siedzącej w środku będzie to sygnał, żeby natychmiast rozwalić jeńca. Spojrzał na zegarek. Derry najprawdopodobniej zajął już stanowisko na drugim brzegu strumienia i dobrze widział tego kolesia w czarnej piżamie. Ale Willie dobrze znał stawkę i z całą pewnością nie zamierzał doprowadzić do tego, by pierwszą ofiarą okazał się ich pilot.

Luther ciągle jeszcze przedzierał się przez dżunglę; ujrzy wartownika dopiero w chwili, kiedy dotrze na skraj przecinki. Będzie kiepsko, jeśli któryś się pośliźnie czy nadepnie gałązkę. Może jednak uda im się podkraść bezgłośnie, wtedy zobaczywszy czujkę, Luther domyśli się, że reszta jest w środku, i z marszu zaatakuje.

Wartownik zsunął karabin z pleców, oparł go o ścianę chatki, a następnie podszedł do brzegu, odciągnął spodnie i zaczął się odlewać do strumyka, obojętnie spoglądając na las po drugiej stronie.

Baldinger wstrzymał oddech. Żółtek był raptem o trzy metry od miejsca, gdzie przyciail się Willie Derry ze swoimi ludźmi, i patrzył dokładnie w ich kierunku. Czy to możliwe, że ich nie widział? A z drugiej strony, jak Willie potrafił utrzymać nerwy na wodzy i nie wywalić magazynka w sukinsyna, który lał mu niemal na buty?

Wartownik odwrócił się, otrząsnął z satysfakcją fiuta, podciągnął spodnie i ruszył w kierunku broni. Raptem stanął na dźwięk miękkiego pyknięcia i natychmiast schylił się po karabin, zanim jednak go dotknął, z chatki zaczął wypełzać szary dym, a koło żółtka znieznacka pojawili się Art Walters i Luther Brown, który załatwił wartownika jednym strzałem. Z drugiej strony szopy wyskoczyli Meks Cortines i Bobby Long, gnając w kierunku otwartych drzwi. Wszystko rozegrało się w mgnieniu oka, jak na ćwiczeniach.

Nagle ściana dżungli się rozwarła. To Derry, pomyślał Dave, oczekując, że zobaczy, jak z zarośli wypada grupa Williego, żeby osłonić ludzi Luthera. Tymczasem zamiast Williego z gąszczu wynurzyło się sześciu żółtków, którzy przefrunawszy nad wąskim korytem strumienia uderzyli od tyłu na Browna i Waltersa. Tych ścięła już pierwsza seria. Cortines i Long odskoczyli za róg domu.

– Dickie, dawaj po nich! – krzyknął Dave, ale Morgan i tak już strzelał, nie czekając na rozkaz. Natychmiast podciągnął karabin maszynowy na szczyt, kiedy tylko usłyszał wybuch granatu gazowego. Żółtki stanęły zaskoczone siłą ognia, popatrzyły w kierunku pagórka i rzuciły się w busz, tym razem jednak już nie na drugim brzegu, lecz po tej samej stronie, na skraju polanki.

– Gdzie Willie? – krzyknął rozwścieczony Baldinger. Nie było się co ludzić. Wietnamczycy przeszli przez Derry'ego, zabili Browna i Waltersa, powstrzymali też atak Cortinesa i Longa na drzwi chatki.

Meks i Bobby spróbowali jeszcze raz. W chwili, kiedy zamilkł karabin Dickiego, wyskoczyli z ukrycia i rzucili się ku drzwiom, tylko po to, by nadzieć się na ogień z nowego źródła. Granat gazowy wyгнаł z chaty trzech żółtków, którzy pojawili się w wejściu, prując na oślep przed siebie. Cortines i Long przypadli do ziemi, podczas gdy Morgan seriami z karabinu maszynowego zaczął omiatać teren przed szopą. Zaskoczeni Wietnamczycy zwalili się jeden po drugim.

W tym momencie z zachodniego skraju dżungli, zza pleców obu rozplaszczonych Amerykanów wyskoczyło trzech następnych przeciwników w czarnych strojach maskujących, otwierając ogień zanim jeszcze byli na otwartej przestrzeni. Morgan skierował na nich karabin maszynowy, ale było już za późno. Kule przeszły ciała Cortinesa i Longa zanim się zorientowali, że ktoś do nich strzela. Długa, żarłoczna seria powaliła jednego z Wietnamczyków, ale pozostałych dwóch odskoczyło w zielony gąszcz. Dickie nie zdejmował palca z języka spustowego, aż Dave dał mu znak, żeby przestał.

Jeszcze przez chwilę słychać było echo wystrzałów, potem powróciła cisza, a Baldinger znowu mógł słyszeć plusk strumyka i głosy ptaków.

Oddziałek Luthera Browna przestał istnieć. Czterech ludzi leżało rozciągniętych po obu stronach drzwi. Rozbita została także grupa Derry'ego. Najpewniej wpakowali się wprost na Wietnamczyków, którzy uporawszy się z nimi, czekali na dalszy rozwój wypadków. Pozostało ich dwóch: Dickie Morgan i on. Być może jeszcze pilot w chacie. I co najmniej – co najmniej! – dwóch żółtków, przycajonych w zaroślach.

– Trzymaj ich na muszce – polecił Dickiemu, wskazując miejsce w zielonej zastłonie, gdzie zniknęli przed chwilą dwaj Wietnamczycy. – Zejdę na dół i postaram się zaskoczyć ich od tyłu.

– Daj spokój, Dave – szepnął natarczywie Morgan. – Daliśmy dupy.

– Tam w środku ciągle jest nasz lotnik – warknął Baldinger i zaczął czołgać się w dół zbocza.

– Odwalił kitę – syknął za nim Dickie. – Jeśli żółtki go nie rozwały, na pewno zrobiłem to ja. Rozpieprzając tych trzech przed drzwiami wpakowałem w tę budę kupę ołowiu. Już po nim.

– Trzeba to sprawdzić – powiedział Baldinger i nie czekając na dalsze argumenty zsunął się do miejsca, w którym Luther zniknął ze swoimi ludźmi. Ruszył jego śladem, czołgając się pod gałęziami i twarzą ocierając o szczyty traw.

Słyszał szelest każdego liścia i trzask każdej trzciny, pękającej pod jego stopami. Wydawało mu się, że robi straszliwy hałas. Spokojnie, upominał siebie. Tamci nie będą mogli wrócić do chaty, gdyż odgoni ich od wejścia ogień z SAW- a. Przycupnięci w buszu czekali, aż ze szczytu wzgórza przypuszczą w ich kierunku atak. Zaskoczy ich od tyłu, jeśli tylko nie zdradzą go odgłosy. Wolniej, wolniej, powtarzał sobie. Cisza była ważniejsza od szybkości.

Posuwał się teraz krok za krokiem, starannie balansując ciałem, zanim oderwał stopę od ziemi. Bezszelestnie rozsuwał gałęzie i przytrzymywał je za sobą, lufa jednak zawsze skierowana była w przód, a palec spoczywał na spuście. Nie bardzo wiedział, gdzie się znajduje. Poszycie było tak gęste, że widział tylko najbliższe drzewo i promienie cienkimi sztyletami wnikające w gęstwinię. Czuł się trochę jak nurek skradający się pod powierzchnią morza do ofiary. W pierwszej chwili sądził, że łatwo będzie obejść tamtych i znaleźć się na ich tyłach, ale teraz zorientował się, że dopiero w chwili, kiedy na nich wyjdzie będzie wiedział, iż jest na miejscu. Równie dobrze mógł się nadziać na lufę, jak i na plecy wroga.

Zamarł, gdyż wydawało mu się, że wrzask ptaków ostrzega o jego nadejściu. A może to jego, Baldingera, ostrzegały ptaki? A żółtki cichutko rozsuwały gałęzie o kilka metrów za jego plecami? Przez moment wsłuchiwał się w śmiertelną ciszę. Potem zrobił następny krok.

Kątem oka zobaczył, jak z lewej mignął jakiś ciemny kształt. Poczul, że traci równowagę i leci na twarz. Gwałtowne szarpnięcie wyrwało mu z ręki broń. Usiłował się od turlać, uderzył jednak o drzewo i jednocześnie żelazny uchwyt wcisnął go w błoto. W oczach ciągle miał jeszcze widok szyderczo uśmiechniętej twarzy, a żołądkiem targnął gwałtowny skurcz mdłości.

W następnej chwili był już na nogach, usiłując nie upaść pod impetem gwałtownych szturchnięć w plecy. Gałęzie boleśnie chlastały go po piersiach i twarzy; szarpnął ręce, aby się zasłonić, ale były skrepowane na plecach. Nagle znalazł się na otwartej przestrzeni i poczuł, jak wali się na twarz, plując piaskiem i kurczowo łapiąc oddech. Napastnik szarpnął nim gwałtownie i popchnął między przycupnięte na ziemi sylwetki. Dave runął ciężko na plecy.

– Postaraj się usiąść – usłyszał szept Williego, który siedział ze skrzyżowanymi nogami i rękami splecionymi na głowie. Obok niego w tej samej pozycji trwali Tony LaRocca, Tom Cavitt i Jim Ray Talbert. Na końcu zobaczył Dickiego Morgana, któremu z nosa sączyła się krew.

– Co się z wami stało? – mruknął Baldinger do Derry'ego.

– Wleźliśmy prosto w zasadzkę – szepnęł tamten. – Nie mieliśmy szans.

Dave z trudem usiadł i skrzyżował nogi, tak jak inni jeńcy. Usiłował podnieść ręce za głowę, ale cienki sznur wrzynający się w przeguby przypominał mu, że jest związany. Obok rogu chatki zobaczył rozciągnięte ciała Luthera i Arta. Dwie ciemne postacie leżały skulone pod drzwiami. Dalej widać było zarys twarzy Meksa i jego rozrzucone ramiona.

Połowa patrolu poległa. Połowa dostała się do niewoli, a pilot, którego mieli uratować, został poszatkowany seriami z ich własnego karabinu maszynowego.

– Jeeeezu Chryyyyste!

Z chatki dobiegł ryk godny zarzynanego zwierzęcia. Potem w strudze światła pokazały się czubki starannie wypolerowanych butów z połyskującymi srebrzyście skuwkami na sznurowadła. Następnie z mroku wyłoniły się spodnie o nienagannie zaprasowanych kantach i błysnęła klamra od pasa. Świeżo wyprasowana koszula srebrzyła się pod połami

munduru, nad którego kieszonką dumnie mieniły się baretki odznaczeń. Kwadratowy podbródek, wąskie, pogardliwie wygięte usta. Okulary słoneczne w metalowej oprawce, nieomylny znak rozpoznawczy starszego sierżanta Elvisa Thompsona. Na samym końcu oczom wszystkich ukazał się zielony берет.

Sierżant Thompson stał teraz w całej swej okazałości i z niesmakiem spoglądał na efekt totalnej jatki.

– Jezus Maria – powiedział, tym razem głosem cichym i ponurym. – Gdyby chodziło mi o rozpieprzenie wszystkiego, zleciłbym to zadanie lotnikom, po których na dodatek nie zostałyby nawet jeden listek na drzewie.

Trącił końcem buta jednego z żołnierzy Wietkongu. – W porządku, panie nieżywy, gra skończona.

Zabici nieprzyjaciele poruszyli się i niezgrabnie zaczęli się podnosić. Jeden z nich ściągnął czarną luźną bluzę, pod którą ukazał się podkoszulek khaki.

– Wszyscy powstań! – ryknął Thompson.

Luther Brown potrząsnął głową i zerwał się na równe nogi. Art Walters powoli gramolił się na kłęczki, zza rogu wyłonili się Meks Cortines i Bobby Long. W strumieniu poruszył się zabity Wietnamczyk, ożył też inny, którego dosięgły kule Dickiego, zanim zdążył dopaść zbawczej gestwiny. Willie Derry rozwiązał pęta zaciśnięte na rękach Baldingera.

– Oddział Specjalny. – Pokiwał głową sierżant Thompson. – Nieuchwytni! Przebiegli! Anioły Śmierci! – Ciągłe kręcąc głową zbliżył się do jeńców, a zatrzymawszy się przed ich półkolem, zdjął przeciwsłoneczne szkła z oczu, w których widać było bezmierny smutek.

– Równie dobrze, pierdoły, moglibyście iść z kobziarzem na czele. Słysząc was było pół godziny wcześniej, zanim tu dotarliście.

Willie Derry zachichotał, co sprawiło, że Thompson zastygł w pół kroku.

– Tak was śmiesz partyactwo, kapralu Derry?

Derry zerwał się i przyjął postawę zasadniczą.

– Nie, panie sierżancie.

– To dobrze. – Skinął łaskawie brodą starszy sierżant. – Bardzo się cieszę, kapralu, gdyż fuszerka w waszym przypadku oznacza śmierć. Waszą i tych biednych skurwysynów, którym przyjdzie wykonywać wasze rozkazy. Czterech waszych ludzi zostało złapanych jak barany, bo poruszają się z gracją słonia! Czego jeszcze, na Boga, potrzeba, żebyście raczyli zamknąć pyski, kiedy jesteście w dżungli?

Powolnym krokiem okrążał swoich podwładnych.

– Co jeszcze, do cholery, mogę zrobić, żeby takie dupy wołowe jak wy nie dały się zaszlachtować?

Kiedy znalazł się na wprost żołnierzy, wyciągnął rękę w kierunku sierżanta Billa Campbella, który dowodził pozorantami Wietkongu. Campbell wydobył z kieszeni dwa granaty i wręczył je Thompsonowi.

– Który to mądrała zakładał pułapki z granatów?

Na baczność zerwał się Tom Cavitt.

– Gówniana robota – oznajmił Thompson. – Znaleźliśmy je bez trudu. Proszę, macie je z powrotem. – Granaty potoczyły się do stóp Cavitta, łyżki odskoczyły i dał się słyszeć syk zapalnika. Przez ułamek sekundy cały oddział spoglądał w osłupieniu na strużkę dymu. Następnie wszyscy rzucili się do ucieczki.

Bobby Long w trzech wielkich susach przemknął obok starszego sierżanta Thompsona i rzucił się twarzą do ziemi. Willie Derry porzucił postawę zasadniczą, okręcił się na pięcie i nurknął w zarośla na skraju polany. Dave Baldinger usiłował na czworakach oddalić się możliwie jak najdalej, a kiedy kordyt w tulejce się skończył, przywarł do ziemi. Cavitt jeszcze biegł, kiedy nastąpił cichy trzask, ale granat bynajmniej nie eksplodował.

– Cholera, chyba niewybuch – powiedział Elvis Thompson i kopnął pogardliwie karbowane jajowate przedmioty, co reszta kadry powitała wybuchem śmiechu. Speszzeni żołnierze powoli zebrali się znowu wokół dowódcy.

– Kto to tak zwycięsko dowodził?

Baldinger wyprężył się jak struna.

Thompson pokijał głową.

– No tak. Mówiąc szczerze, Baldinger, zupełnie nie wiem, jaką ocenę wystawić za to ćwiczenie, gdyż parę rzeczy zrobiliście zupełnie dobrze. Jak chociażby przejście przez bagna. Rzykowna decyzja, ale chytra. Gdybyście wybrali twardy grunt, nie zaszlibyście aż tak daleko. Zastawiliśmy tam na was parę pułapek.

Dave nie pozwolił sobie na żadną oznakę zadowolenia. U Thompsona pochwały zawsze były wstępem do znacznie liczniejszych reprimend.

– Także karabin maszynowy – ciągnął starszy sierżant. – Bardzo ładnie ustawiony, na szczycie pagórka, skąd mógł pokryć ogniem całe pole akcji. Sam bym go tam umieścił.

W twarzy Baldingera nie drgnął nawet muskuł.

– Tyle że użyliście go jak gangster z Chicago – mówił Thompson, wracając do swojego normalnego, ironicznego tonu. – Kurczę, jak można walić tak po wszystkim, kiedy w polu ostrzału macie swoich ludzi! A jeśli na dodatek jeszcze waszym zadaniem jest uwolnienie jeńca, to jak niby chcecie to zrobić, skoro najpierw dokumentnie ostrzelaliście chatę, w której ten skurwiel ma się znajdować?

Nie wydawało się, żeby Thompson oczekiwał odpowiedzi na pytanie.

– Mogłoby się co prawda zdarzyć, że nie zabilibyście go, ale z pewnością zostałyby rany, a zatem nie mogłoby chodzić. A wtedy, dupki, musielibyście go nieść na plecach.

Wszyscy pospuszczali oczy.

– Sierżancie, ile przeciętnie ważą piloci? – zapytał Thompson swego zastępcę. Sierżant Bill Campbell jakby tylko czekał na to pytanie.

– Jakieś osiemdziesiąt pięć kilometrów – odparł głosem tak pewnym siebie, jakby wiedzę tę zawdzięczał długim i skrupulatnym badaniom.

– Derry! – Willie wyprostował się na głos Thompsona. – Macie minutę, żeby swoją torbę wypełnić osiemdziesięcioma pięcioma kilogramami.

– Tak jest, panie sierżancie – odrzyknął Derry i chwycił torbę amunicyjną, która została zniesiona ze szczytu wraz ze zdobycznym karabinem maszynowym. – Brown, Long, chodźcie mi pomóc. – Luther i Bobby ruszyli jego śladem na brzeg i zaczęli wrzucać do torby odłamki skalne.

Thompson spojrzął na zegarek.

– Przegranych chcę widzieć w obozie punkt szósta i lepiej żebyście mieli ze sobą pilota. Co więcej, ma być żywy.

– Proszę objąć dowództwo, sierżancie – Thompson zwrócił się do Campbella, a potem raptownie zrobił w tył zwrot i pograżył się w dżungli tak bezszelestnie, jakby zniknął w drzwiach eleganckiego hotelu.

– Będziemy potrzebowali noszy – mruknął Baldinger. Meks Cortines oraz Dickie Morgan wydobyli noże i skoczyli w zarośla, by wyciąć odpowiednie pręty, podczas gdy Art Walters poszukał w torbie medycznej nylonowej płachty.

Sierżant Campbell przyglądał się, jak Willie, Luther i Bobby ładują kamienie do torby, a kiedy zaczęli wyciągać ją na brzeg syknął: – Zaraz, nie tak szybko!

Podszedł i trącił nogą balast.

– Moim zdaniem to żaden osiemdziesięciopięciokilogramowy pilot, tylko jakiś pięćdziesięciokilogramowy liliput. Dołóżcie no jeszcze trochę.

– Ale on się cholernie wykrwawił – spróbował Willie Derry.

– Doładować tę pieprzoną torbę, mówię! – rozdarł się Campbell.

Zanim trójka znad strumienia była wreszcie gotowa, Walters zdążył rozpiąć plastik na dwóch dragach. Załadowali lotnika na swoje prowizoryczne nosze.

– Willie, Meks, wy będziecie nieśli pierwsi – polecił Baldinger. – Dickie, Luther, wy pilnujecie flanków. Bobby, ty idziesz w szpicy.

Zajęli pozycje, z rannym pilotem w środku kolumny. Dave nakazał przeprawę przez strumień, gdyż potem czekała ich twarda droga.

– A gdzie ty się wybierasz, Baldinger? – wydarł się sierżant Campbell. – Tam, gdzie łatwiej?

– Mamy tu rannego – odwarknął Baldinger. – Nie możemy targać się z nim przez dżunglę.

– Krwawi, trzeba go dostarczyć jak najszybciej do bazy. Pójdziecie przez bagna. Chyba że, cipuchny – dodał z krzywym uśmiechem – macie już dość Zielonych Beretów.

Willie i Meks Cortines podnieśli nosze, Bobby Long zajął miejsce na szpicy, Dickie Morgan i Luther Brown rozeszli się na skrzydła. Oddział ruszył niczym religijna procesja, zagłębiając się w mokradła, które dzieliły ich od jednostki.

Fort Francis Marion został zbudowany właśnie ze względu na bagna. Znajdował się u podnóża Apalachów na granicy Południowej Karoliny i Georgii, skąd strumienie spływały do dorzecza rzeki Savannah. Na wiosnę, kiedy potoki wylewały, posycie gęstych lasów zamieniało się w trzęsawisko. Ku wschodowi, gdzie teren się wyrównywał, można go było uznać za replikę Deltę Mekongu. Ku zachodowi, gęsto zalesione, skalne zbocza Płaskowyżu Piedmont przypominały do złudzenia krajobraz Salwadoru. Znakomite miejsce do ćwiczeń dla Oddziałów Specjalnych.

Na początku był to wspólny poligon dużych baz wojsk lądowych: Fort Benning i Fort Bragg, zwany Obozem Węży z racji wylęgających się na bagnach jadowitych mokasynów gładkich i miedzianogłowych, z którymi większość żołnierzy spotykała się tutaj po raz pierwszy. Przeprowadzano tu krótkie szkolenia, które miały dawać przedsmak tego, jak wygląda wojna prowadzona w nieznanach okolicach o trudnych do wymówienia nazwach.

Wraz jednak z tym jak doradztwo wojskowe w Wietnamie przerodziło się w regularną wojnę, a w Ameryce Środkowej coraz częstsze były powstania i ruchy partyzanckie, sam tylko przedsmak walk w dżungli już nie wystarczał. Niekonwencjonalne operacje wojskowe stawały się coraz bardziej konwencjonalne. Zainteresowanie sztabowców z jednostek wielkości dywizji, odpowiednich dla równin północnoniemieckich, zaczynało się przenosić na niewielkie ugrupowania, które wszędzie były w stanie przeprowadzić operację typu „Uderz i znikaj”. Oddziały specjalne zyskiwały na znaczeniu, na którym traciły takie formacje jak artyleria czy saperzy. Zielone Berety cieszyły się coraz większą sławą i otaczała je coraz bogatsza legenda.

Spowodowało to również rozwój Fort Marion: najpierw pojawiły się baraki dla żołnierzy, potem bardziej solidne domki dla instruktorów i ich rodzin. W salach zawisły tablice, na których objaśniano zawiłości taktyczne walki na zapleczu wroga. Powstały tory przeszkód i labirynty okopów, w których ćwiczone walkę wręcz. Kiedy zaś zebrało się już stałe grono instruktorów i urzędników, musiała też przyjść pora na architekta, który zaprojektował gustowny klub oficerski, z należycie zaopatrzonym barkiem oraz wyjściami prowadzącymi na basen z jednej strony, a na parkiet taneczny – z drugiej.

Fort przyjął swoją nazwę od Francis Marion, który w czasie wojny o niepodległość, z lasów, znanych mu jak własna kieszeń, atakował nader skutecznie każdą zbyt nierozważną wyprawę Czerwonych Kubraków. Zaskarbił sobie u przeciwników przydomek „Bagienny Lis”. Nauczyli się oni, że należy się bać nagłych uderzeń spadających znienacka z gęstwiny i okazali dostatecznie dużo rozsądku, by nie zagłębiać się śladem swego prześladowcy w leśne ostępy.

W efekcie Fort Francis Marion stał się nie tylko głównym ośrodkiem szkoleniowym Armii USA, ale zyskał też sławę poza granicami kraju. Rebelie i powstania stały się trudnym problemem dla połowy państw kapitalistycznych, które Stany Zjednoczone uważały za swych sojuszników. W Ameryce Łacińskiej, na Karaibach, w Afryce Zachodniej oficerowie miejscowych armii odkrywali z rozczarowaniem, że dostarczone im w ramach pomocy

wojskowej czołgi i haubice mało są przydatne w rozwiązywaniu trudności, które przed nimi stawały. Przychodziło im walczyć z własnymi rodakami, za dnia będącymi spokojnymi kupcami i rolnikami, a w ciemnościach nocnych przemieniającymi się w rewolucjonistów. To wymagało zupełnie innych umiejętności wojskowych.

A można było je nabyć właśnie w Fort Francis Marion. Na mokradłach kursanci uczyli się wykrywania przeciwnika w dżungli i bezgłośnego zabijania. W salach wykładowych mówiono im o badaniu nastrojów społecznych, infiltracji ruchów konspiracyjnych i o kontrwywiadzie, a także zapoznawano z zasadami defoliacji, czyli niszczenia listowia, pod którego osłoną przemykały się oddziały partyzanckie, skażania wody oraz takiego przesłuchiwania zwolenników ruchów rebelianckich, by jak najszybciej dało się ustalić personalia ich przywódców. To właśnie w Fort Francis Marion najbardziej skrupulatnie i rzetelnie rozważano kwestię, w jaki sposób bronić instytucje rządowe przed ludźmi, których interesom miały służyć. To tutaj rodziły się nowe strategie i taktyki zwalczania partyzantki. Wojskowi, policjanci i politycy z Tajlandii, Birmy, Singapuru, Chile, Peru, Salwadoru, Gwatemali, Dominikany, Maroka, Południowej Afryki, a nawet Iraku udawali się z pielgrzymkami do tego nowego centrum wiedzy wojskowej, w którym uczyli się, jak niszczyć przeciwnika nie w walnej bitwie, lecz przez nieustanne nękanie. Wracali do swoich krajów z dyplomami opatrzonymi pieczęcią Fort Francis Marion.

Dla starych wyjadaczy był to jednak Obóz Węży, który zaczęto nazywać Fortem Węży, kiedy osiągnął już wielkość sporego miasteczka. I nazwę tę honorowano na wszystkich szczeblach hierarchii wojskowej, włącznie z Pentagonem. Rozkazy adresowano na Fort Francis Marion, ale między sobą zawsze mówiono: Fort Węży.

– Dickie, Luther, weźcie nosze. Willi i Meks na boki. Art, zmień Bobby'ego na szpicy.

Zmiana była konieczna, gdyż Derry i Cortines posuwali się z coraz większym trudem. Naprędce sporządzone nosze były niestabilne, co ogromnie utrudniało manewry w bushu, a ciężar „rannego lotnika” wzrastał z każdym krokiem. Pospieszenie przycięte kołki wrzynały się w palce. Kiedy usiłowali nieść je na barkach, odgięta gałąź chlasnęła Meksą w twarz, rozcinając policzek, który natychmiast napuchł, zamieniając lewe oko w waziutką szparkę.

– Jak jeszcze trochę tu zabawimy, to mnie poniesiecie – sapnął Derry.

– Zamknij się – syknął Baldinger, pamiętając o drwinie Thompsona, iż poruszają się w lesie z gracją słonia.

Zamienili się miejscami.

– Miejsce na wszystko oko – upominał Dave. – Sukinsyny mogą zasadzić się na nas po drodze.

Baldinger był pewien, że ćwiczenie wcale się jeszcze nie skończyło. To się nie zdarzało u sierżanta Thompsona. Operacje zawsze były wzorowane na jego doświadczeniach z Wietnamu. Odsłużył tam trzy tury i nauczył się w tym czasie, że wróg nigdy nie daje za wygraną. Zawsze też domagał się, by oddział odgrywający przeciwnika ubrany był w stroje wieśniaków z Delti Mekongu.

Dziś na przykład mieli ratować zestrzelonego lotnika, ponieważ Thompson dowodził raz patroliem, który otrzymał takie właśnie zadanie. Targali na noszach torbę pełną kamieni, gdyż tamten pilot spadł na spadochronie w gęstą dżunglę, nadziewając się na trzy gałęzie, tak że później trzeba go było nieść dwadzieścia cztery kilometry przez gęstwinę.

Nie wolno im było stosować płynu przeciw komarom, jego zapach ściągnął bowiem kiedys żółtków na jednego ze snajperów Thompsona; nieszczęśnik oraz jego kolega zostali posiekani nożami na miazgę. Nie zabierali ze sobą racji żywności: Thompson uważał, iż zdobywając jedzenie po drodze, mogą uzyskać bezcenne informacje. Jedno małe słówko ostrzeżenia może być o wiele ważniejsze od puszki wołowiny. Nawet w koszarach nie mogli sobie pozwolić na chwilę relaksu. Za drugim pobylem Thompsona, Wietnamczycy napadli na obóz daleko na tyłach frontu i idąc od łóżka do łóżka zabijali niczego się nie spodziewających żołnierzy. To samo zainscenizował starszy sierżant drugiej nocy w Obozie Węży. Lekcja była prosta i przejrzysta. Jeśli odprężysz się, zginąłeś. Jeśli bez skrupulatnego

sprawdzenia uznasz coś za pewne, już się nie zbudzisz, żeby dowiedzieć się o swoim błędzie.

Tak więc Baldinger nie uznał wcale za pewne tego, że mają już tylko wrócić do fortu z nienaruszoną torbą na noszach. Thompson nieustannie powtarzał, że nieprzyjaciel jest wszędzie i dlatego należało oczekiwać, iż oddział szkoleniowców urządzi im jakąś niespodziankę po drodze, a odziani będą w czarne kimona Wietnamczyków, lub w sombrera Indian gwatemalskich. Nie wolno było zakładać, że skoro gra wojenna odbywa się w Wietnamie, Thompson nie zrobi zasadzki w stylu, na przykład, Zulusów.

Dotarli do bagnistego rozlewiska, przez które przedzierali się kilka godzin wcześniej. Baldinger kazał Artowi i Willie'emu zbadać gęstwinę na wschodnim brzegu, Meksa posłał na zachodni. Sam wszedł w wodę i badając dno przed sobą, prowadził noszowych, którzy na wyprostowanych ramionach nieśli swój balast nad głowami. Nagana Thompsona nie poszła na marne; z brzegów, którymi przemyciły się ich czujki, nie dobiegł żaden szmer liści, nie trzasnęła żadna gałązka. Kiedy wyszli wreszcie na suchy grunt, Dickie i Luther zaczęli się na nogach.

– Lepiej było zastrzelić tego skurwysyna, zamiast go targać ze sobą – syknął Brown, kiedy opuszczali nosze na ziemię. Dave przywołał resztę i kolejna para chwyciła za drągi. Brnęli teraz łożyskiem strumienia, czekając aż z przodu otrzymają znak „droga wolna”. Posuwali się powoli, ale mieli nadzieję, że w ten sposób nie dadzą się wziąć z zaskoczenia.

Kolumna przemierzała właśnie skraj trzęsawiska, kiedy Baldinger zatrzymał wszystkich nagłym podniesieniem ręki. W zaroślach po drugiej stronie wody posłyszał jakiś szmer. Na znak dowódcy wszyscy przypadli do błotnistej gruntu, ukrywając nosze pod zasłoną zwieszających się gałęzi.

Bobby pierwszy dojrzał węża, który zsunął się do wody i pełzł teraz po przybrzeżnej płyciźnie. Baldinger spojrzął we wskazanym kierunku, skinął głową, powstał i postąpił kilka kroków do przodu. W jego ślady poszli pozostali, z wyjątkiem Arta Waltersa, który zamarł z oczyma utkwionymi w gada.

– Idziemy – szepnął Luther.

Art pokręcił głową.

– Co znowu? – zapytał Luther.

– Nie wejść do wody, w której są węże – mruknął Walters.

– Patrz im prosto w ślepie. Nic ci nie zrobią, jeśli dasz im do zrozumienia, że się ich nie boisz.

– Ale one wiedzą, że się boję.

– Gap się prosto na nie – powtórzył Luther. – Tak się zawsze robi ze szczurami, a węże nie są od nich gorsze.

Skończyło się mokradło i znowu mieli przed sobą gęstwinę dżungli. Jeszcze dwóch ludzi zostało umieszczonych w pobliżu noszy, jeden z przodu, drugi z tyłu, tak by przytrzymały gałęzie i pomagali przeciskać balast przez płataninę konarów. Szli teraz zwartą grupą, co zwiększało niebezpieczeństwo wpadnięcia w zasadzkę, pozwalało jednak mieć nadzieję, że się nie rozproszą i nie pogubią. Było coraz ciemniej. Gdyby w mroku któryś z nich zbłąkał się w gęstwinie, mogliby go nie odnaleźć. Dostali nasłuchali się opowieści o żołnierzach, którzy odłączywszy się od patrolu, dostali fioła, całymi dniami wałęsając się po lesie.

Szli rozpaczliwie wolno. Każdy kilometr okupiony był setką ruchów: odgarnianie gałęzi, przeciskanie broni i tornistrów, robienie miejsca dla noszy.

– Gównu, nie dojdziemy – mruknął Long.

– Ruszaj się, Bobby i zamknij jadaczkę.

Zatrzymali się na skraju kolejnego trzęsawiska, wyczerpani i obolali od uderzeń gałęzi w ramiona i nogi. Tony LaRocca i Jim Ray Talbert pochylili się, żeby postawić nosze.

– Nie stajemy – sprzeciwił się Baldinger i wskazał na ciemniejące niebo. – Trzeba wykorzystać każdą chwilę dziennego światła.

Znowu dwóch ludzi obeszło trzęsawisko, przedzierając się po obu brzegach między drzewami, a Baldinger poprowadził resztę przez wodę po niepewnym dnie.

– Zaraził się od Thompsona – szepnął Willie Derry.

– Chodźcie – mruknął Cortines i ruszył za Baldingerem.

Byli pośrodku bajora, kiedy zaatakowały komary, ciemnymi rojami unosząc się z brzegów. Baldinger poczuł ukąszenia na szyi i twarzy, zmrużył oczy i zamachał rękami w bezskutecznej próbie odpędzenia owadów. Potem zacisnął zęby i usiłował skupić całą uwagę na ścianie lasu. Było to wymarzone miejsce na zasadzkę: przeciwnik bezpiecznie skryty za drzewami mógł czekać, aż oni znajdą się na środku wodnej tafli. Niczym kaczki wystawione na strzał.

– O Jezu. – Tony LaRocca rozpaczliwie kręcił głową, usiłując uwolnić się od komara, który wczepił się w skórę na policzku. W odległości około metra za nim siedł Jim Ray, uderzał głową o drągi noszy, ale i on wydał po chwili okrzyk bólu.

Dave rzucił się do tyłu, żeby uciszyć Talberta, którego wrzaski musiały dotrzeć aż do Fortu Węży. Tymczasem LaRocca puścił jeden z uchwytów, żeby wolną ręką strząsnąć z twarzy insekty. Nosze zachybotwały się, a drugi ich koniec zaczął wysuwać się z rąk niespodziewanie obciążonego dodatkowym ciężarem Talberta, który toczył własną potyczkę z komarami. Torba z kamieniami zsunęła się w wodę. Meks rzucił się, żeby ją podtrzymać, ale tracąc równowagę zawisł na noszach, które pograżyły się pod wodą. Znalazłszy oparcie dla nóg, Cortines zdążył jeszcze schylić się i wraz z Jimem Rayem pochwycić balast, zanim ten utknął w mulistym dnie. Kiedy wyciągnęli go nad powierzchnię, moskity obsiadły rękę Jima Raya tak gęsto jak pszczoły plaster miodu. Nieszczęśnik krzyknął i wypuścił ciężar z dłoni. Na szczęście Baldinger był tuż obok i zdążył złapać pograżający się znowu w wodzie koniec torby; wraz z Jimem Rayem wytaszczył ją na brzeg i przytrzymał, czekając aż Meks i Willie podstawią nosze. Ledwie Dave opuścił ciężar na plastikową płachtę, pękł jeden z kijów, i balast raz jeszcze zaczął osuwać się w kierunku trzęsawiska. Tony LaRocca cisnął bezużyteczny teraz pręt i skoczył na pomoc Baldingerowi i Talbertowi.

– Potrzymajcie to kurewstwo – szepnął Dave – a ja zetnę zaraz jakiś akuratny kij.

– Pieprzyć to – prychnął Meks i podał swój karabinek Baldingerowi, polecając jednocześnie Derry'emu: – Zarzuć mi go na plecy! – Przykucnął w wodzie, która sięgnęła mu do brody, a kiedy wyprostował się, imitację lotnika trzymał na plecach w strażackim uchwycie. – Zjeżdżamy stąd – wychrypiął.

Baldinger pokręcił głową.

– Sam nie dasz rady.

Meks nic nie odpowiedział, tylko poprawił ciężar na grzbiecie i krok za krokiem zaczął brnąć ku odległemu brzegowi, nie zwracając żadnej uwagi na chmurę krążących wokół niego owadów.

Tonny LaRocca otarł wodą skaleczoną twarz, wziął od Dave'a broń Mekska i skoczył za tamtym: chciał mu w razie potrzeby pomóc. Przy gwałtownym kroku but pośliznął się na podwodnym kamieniu, i czując złowrogi chrzęst w kolanie, LaRocca z okrzykiem bólu runął w wodę.

Jezus Maria, pomyślał Baldinger. Wystarczyłby jeden jedyny żółtek na brzegu, żeby nas wszystkich załatwić. Bez żadnej osłony, wyczyniamy jakieś wygibasy, wrzeszcząc przy tym jak opętani.

– Myślisz, że te latające kurewstwa pracują dla sierżanta Thompsona? – zapytał niewinnie Willie Derry.

– Zamknij pysk, Tarzanie – syknął ze wściekłością Baldinger.

Kapitan Henry Roy wdepnął do oporu hamulec swojego Mustanga, usłyszał bowiem pierwsze dźwięki capstrzyku.

– Cholera! Wiedziałem, że tak będzie.

Przez chwilę szarpał się z pasem bezpieczeństwa, który zawsze zaklinowywał się w najmniej pożądanym momencie, wreszcie gwałtownie otworzył drzwi i wyskoczył, przyjmując postawę zasadniczą. Prawa ręka, zgięta pod przepisowym kątem, dotykała beretu, pod którym, widać było gładko wygoloną, pełną stanowczości twarz. Stał jak posąg atlety: ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, szerokie ramiona łagodnymi skosami przechodzące w wąską talię.

Stojąca po drugiej stronie samochodu Carol Roy wygładziła sukienkę. Podobnie jak Henry była wysoka, ale miała ciemniejszą karnację i niewiele cech atlety. Przytrzymała włosy rozwiewane przez wiatr.

– Nie wdzięcz się – kątem ust warknął kapitan. Carol westchnęła ciężko i położyła prawą dłoń na sercu.

Cały Fort Francis Marion zastygł w bezruchu. Na pierwszy dźwięk capstrzyku wszystkie pojazdy zatrzymały się w miejscu, a ich pasażerowie nieruchomieli, oddając honory. Maszerujące oddziały stawały i zwracały się w kierunku sztandaru. W biurach zdania zamierały w pół słowa. W klubie oficerskim kelnerzy zamarli na moment i tylko kostki lodu grzechotały w rozbujanych drinkach.

Trębacz ze znawstwem dobrnął do finałowej, wyciągniętej nuty i flaga zaczęła sphywać z wysokiego masztu. Jej ruch był tak odmierzony, by sztandar dotknął podnóża w chwili zakończenia capstrzyku. Teraz nastąpiła długa, pełna oczekiwania pauza, aż wreszcie rozbrzmiał wystrzał armatni, którego echo obijało się między ścianami budynków, by po chwili, osłabione i głębsze, powrócić od zboczy pobliskich gór.

Kapitan Roy gwałtownym ruchem opuścił rękę. Kiedy odwrócił głowę, nad dachem samochodu nie dojrzał już Carol: zajmowała właśnie miejsce w samochodzie.

– Jezus Maria – westchnął, zapinając pas. – To takie strasznie trudne, nie ruszyć się przez parszywe pół minuty?

– Rozwiewało mi włosy, a powiedziałeś, że mam wyglądać jak najlepiej.

– Capstrzyk to jedyna ceremonia wojskowa w tej choleralnej bazie. Na miłość Boską, Carol, możesz chyba uszanować tę jedną cholerną ceremonię.

– Zdecyduj o co ci chodzi: o dyscyplinę czy o dobry wygląd żony – odparła obojętnie. – Nie mogę jednocześnie oddawać honorów fladze i pilnować, żeby mi wiatr nie potargał włosów.

– Przede wszystkim chodzi mi o to, żebyśmy się nie spóźnili na party u pułkownika – rzucił z irytacją. – Chociaż raz mogłabyś się wyszykować na czas.

– Pięknie, tyle że całe pół godziny zmarnowałam na odszukanie twoich baretek.

– Baretki – powiedział kapitan, cedząc każde słowo – powinny leżeć w mojej szkatułce, a nie w kącie szufłady ze skarpetkami.

– Przepraszam – bąknęła Carol.

Jechali w milczeniu, aż wykręcili na podjazd do klubu oficerskiego. Henry uznał, że trzeba dać pokój sprzeczkom.

– Słuchaj, kochanie, przepraszam, że się uniosłem, ale Grigg lubi, żeby wszyscy byli na czas. On sam ma się zjawić na końcu; to jego przywilej.

– Mnie także jest przykro, że opóźniliśmy się z mojego powodu. Za nic nie chciałabym popsuć pułkownikowi Griggowi efektownego entré.

Kiedy zatrzymali się i szeregowy podszedł sztywnym krokiem, aby otworzyć drzwi, zaptała: – A co przyszykował na dzisiejszy wieczór? Skok na spadochronie prosto w okno?

Klub wzniesiono na skarpie nad brzegiem jeziora, oddzielającego od codziennej szaryzny obozu. Z przeszkłonych ścian jadalni rozpościerał się wspaniały widok na szczyty drzew i odległe łańcuchy górskie, za którymi krwawo zachodziło właśnie słońce. Korpus oficerski Szkoły Operacji Specjalnych zgromadził się na tarasie; wszyscy ostro popijali z wyjątkiem tych kilku chwil, kiedy trzeba było oddawać honory fladze.

Major Eugene Daks, wysoki, lekko zgarbiony, z pasemkami siwizny na skroniach, był najstarszym w tej chwili oficerem i dlatego też stanowił centrum zainteresowania. Podczas

towarzyskich okazji, takich jak ta, od podwładnych oczekiwano, że zgromadzą się wokół seniora, dorzucając od czasu do czasu uwagi do rozważanej przez niego kwestii. Ponieważ Daks przyszedł do Fort Francis Marion z artylerii, z lubością rozprawił o eksplozjach i detonacjach. Umiejętności swoje nabył jako młody kapitan, kiedy zakładał w Salwadorze pułapki minowe na Morazana i Cabanasa, za co otrzymał Srebrną Gwiazdę. W Szkole wykładał zasady wojny saperkiej, od naprędcie zakładanych pułapek z granatów, które były w stanie uśmiercić kilku ludzi, do wielkich ładunków, unicestwiających mosty kolejowe.

Henry i Carol rozłączyli się, ledwie stanęli na tarasie. Henry podszedł do grupy skupionej wokół Daks, przywitał się i zaczął rozglądać za kelnerem. Carol zasilila grono kobiet zgromadzonych wokół Marilyn Daks i zaczęła się przysłuchiwać dyskusji na temat dywizyjnego przedszkola. Marilyn przewodniczyła Kółku Rodzin Wojskowych w Fort Francis Marion, a szarża męża także i jej dawała przywilej wyboru tematu rozmowy.

Daks opowiadał właśnie o szkoleniu oficerów z Wenezueli, gdzie pojawiły się problemy z partyzantką miejską.

– Standardowa operacja pacyfikacji wioski – mówił major. – Leżą na ziemi, podrywają się, rzucają do środka granat i znowu na brzuch. Świetnie się bawili, za każdym razem uśmiech od ucha do ucha, gdy przez okna nad głowami słysząc huk eksplozji. No więc, był tam także facet z czarną czupryną i sumiastymi wąsami, jakaś ważna fisza, pułkownik zdaje się, czy coś takiego. Przyszła na niego kolej, więc biegnie i – hop, pod okno.

Daks schylił się poniżej barierki otaczającej taras i zaczął odgrywać całą sytuację.

– Wyciąga zawleczkę zębami – tu opowiadanie przerwał na chwilę chóralny śmiech słuchaczy – mówię serio, zębami, jak na jakimś filmie ze Stevem McQueenem, wystawia rękę – dłoń Daks powędrowała nad barierkę – i rzuca granat nad parapetem, ale potem, słuchajcie, kuca pod murkiem z palcami w uszach i ściśniętymi powiekami.

Daks przycupnął, przybierając pozę pełną przerażenia.

– No i zaczyna liczyć; dobrze widać, że z każdą sekundą zaciska powieki coraz mocniej. A tu nic. Żadnej eksplozji. – Oczy majora otworzyły się podejrzliwie. – Więc otwiera te swoje ślepka, opuszcza ręce i czeka jeszcze chwilę, ale kiedy nie słyszy wybuchu, dochodzi do wniosku, że to niewybuch.

Henry Roy lekko cmoknął, przewidując już finał historii.

– No więc staję, za nim otwarte okno, ja się drę: „Padnij!”, a ten tylko się śmieje do mnie „Nie, nie, panie majorze, to niewybuch”. I jakby jeszcze wszystkiego było mało, wsadza pierdoła ten swój głupi łeb, żeby sprawdzić, co się stało.

– O Boże, nie – odezwał się kapitan Brian O’Leary.

– Przysięgam, jak tu stoję – zaręczył Daks. – No więc zagląda do środka i widzę już tylko wielką dupę wypinającą się z okna. I wtedy granat pierdołnął. – Major zakrzuszył się ze śmiechu. – Sukinsyn wyleciał z tego okna w naszym kierunku, jak korek z butelki szampana. Przeleciał jakieś sześć metrów i ryms! plecami na ziemię. Kiedy dobiegłem do niego, wpatrywał się w niebo z kretyńskim uśmieszkiem, a pięści wpychał w uszy, w których musiało dzwonić jak jasna cholera.

Oficerowie zarykiwali się z rozbawienia.

– Czuprynę miał spaloną aż do samej skóry, a i wąsy niezłe nadwęglone.

– Baaaczność!

O’Leary pierwszy dojrzał pułkownika Barry’ego Grigga, który szedł właśnie przez jadalnię. Wszyscy zastygli wpatrzni w szklane drzwi, skąd wkroczył na drewniany taras ich dowódca.

– Spocznij, panowie – powiedział Grigg, a następnie zwróciwszy się ku damom, lekko skłonił głowę. – Prawdziwa przyjemność znaleźć się w tak miłym towarzystwie.

Odpowiedzią było chóralne, choć może nie całkowicie zgrane „Dobry wieczór”.

Grigg odwrócił się do oficerów.

– Dajcie mi coś do picia.

Tymczasem Henry Roy już wracał z drinkiem. Każdy z podwładnych dobrze znał predykcję Grigga do whisky z sokiem grejfrutowym.

Barry Grigg uratował Operacje Specjalne w trudnych czasach po Wietnamie i zadbał o nadanie im cech, które sam uosabiał: fizyczna sprawność, pomysłowość, wiarygodność. W West Point był mistrzem wszechwag w zapasach, miał też tytuły mistrzowskie NCAA w dwóch wagach. Do niego należały rekordy toru przeszkód w Fort Bragg i Fort Benning, jak i rekordy w pompkach na jednej ręce w połowie klubów oficerskich, przynajmniej tych, które należały do wojsk lądowych. Niezmiennie prowadził zajęcia na torze przeszkód z rekrutami, niezmiennie też wykazywał, jak kiepska jest ich kondycja.

Równie imponujące były osiągnięcia Grigga w nauce. West Point ukończył z drugą lokatą, ustępując zwycięzcy o tysięczne części punktu. Był najlepszy w matematyce i medycynie; znajomość pierwszej pozwalała mu samodzielnie wyliczać trajektorie pocisków moździerzowych, znajomość drugiej sprawiała, iż przesłuchiwani przez niego więźniowie zawsze składali zeznania. Mówił biegle po wietnamsku i hiszpańsku, zupełnie znośnie w farsi.

Uczestniczył we wszystkich większych tajnych operacjach podejmowanych przez wojska lądowe. Jako świeżo upieczony porucznik dowodził helikopterem w Wietnamie, potem został zrzucony w Kambodży, w Zimbabwie zaś pilotował samolot rozpoznawczy. Jako kapitan dowodził kilkoma nieoficjalnymi misjami w Nikaragui i poza nią; otrzymawszy awans na pułkownika, stanął na czele zespołu doradców skierowanych do Salwadoru.

Kiedy wyznaczono go na komendanta ośrodka szkoleniowego Oddziałów Specjalnych Armii i kierownika Szkoły, zadbał przede wszystkim o zgromadzenie wokół siebie ludzi o podobnym doświadczeniu. Ponieważ w Wietnamie prymitywne „miny”, które często okazywały się, na przykład, zatkniętymi w ziemi zaostrzonymi kółkami, powodowały ogromne straty pośród Amerykanów, Griggowi bardzo zależało na pozyskaniu wytrawnego sapersa. W Salwadorze wpadł mu w oko major Daks z racji skuteczności, z jaką rozmieszczone przez niego miny zagroziły rebeliantom dojście do podrzędnych nawet dróg. U Grigga wykladał zasady użycia min przeciwpiechotnych oraz wszelkich innych.

Kapitan Brian O'Leary analizował w Pentagonie zdjęcia dostarczane przez satelity szpiegowskie. Ponieważ Grigg nie raz i nie dwa poznał na własnej skórze efekty niedokładnego rozpoznania, zadbał o to, by O'Leary został odkomenderowany do Fort Francis Marion, gdzie zatroszczył się o profesjonalny charakter kursu gromadzenia i wykorzystywania informacji wywiadowczych.

Kapitan Henry Roy zajmował się bronią chemiczną w Rocky Mountain Arsenal. Grigg poznał go w Salwadorze, gdzie uczył Gwardię Narodową, jak używać defoliantów i zatrwać źródła wodne. Po zakończeniu misji w Salwadorze nie powrócił w Góry Skaliste, lecz wylądował w Szkole Operacji Specjalnych.

Psychiatra Victor Jordan wiedzę medyczną zdobył w Akademii Wojsk Lądowych, a zajmował się wpływem fizycznych i psychicznych tortur, którym byli poddawani amerykańscy jeńcy. Ponieważ jego raporty stanowiły pogłębienie i rozszerzenie obserwacji, których dokonał Grigg, odbijając żołnierzy schwytych przez Wietkong, poprzez odpowiednie naciski uzyskał oddelegowanie Jordana do Fort Francis Marion, gdzie major uczył zarówno sztuki prowadzenia przesłuchań, jak i nieujawniania informacji.

W pułkowniku Griggu znaleźli najbardziej wymagającego dowódcę, jakiego zdarzyło im się spotkać. Ponieważ komendant Szkoły uważał, iż kształceni w niej podopieczni stanowią ostatnią zaporę przed hordami barbarzyńców, pragnącymi zniszczyć amerykański styl życia, więc z naciskiem powtarzał, iż wszyscy absolwenci muszą sprostać tej odpowiedzialności. Dzień po dniu i miesiąc po miesiącu kazał im ćwiczyć długimi godzinami, a nie tolerował najmniejszego nawet błędu. Zawsze jednak uczestniczył w ich zajęciach i jeszcze mniej pobłażliwy był wobec własnych potknięć. Od czasu zaś do czasu, tak jak dzisiaj, zapraszał ich wraz z żonami na wspólne spotkanie, aby podziękować im za ofiarność i przeprosić za niewygodę, na jakie wystawione zostało ich życie rodzinne. Koszty przyjęcia po-

krywał z własnej kieszeni, a chociaż sam był zagorzałym kawalerem i nigdy nie nauczył się tańczyć, koperta z sowitą zawartością, którą na osobności wręczył kierownikowi zespołu muzycznego, miała zagwarantować, że grane z uczuciem utwory będą rozbrzmiewać do późnej nocy.

Zbliżając się do jednostki słyszeli odległe dźwięki muzyki, mogli rozpoznać rytm perkusji, a od czasu do czasu nostalgiczną skargę trąbki.

– Kto pierwszy odgadnie, co to za kawałek? – powiedział Willie, naśladowując zachęcający głos spikera radiowego. Nikomu jednak nie było do śmiechu.

Kolano Tony'ego LaRocci tak spuchło, że niemal nie dało się zgiąć. Przez jakiś czas usiłował nie odstawać od reszty, pól idąc a pół skacząc, ale nienormalny krok szybko spowodował odparzenie zdrowej stopy. Teraz szedł podpierany z jednej strony przez Dickiego Morgana, a z drugiej przez Arta Waltersa. Do Arta należało pilnowanie, by nie zgubili drogi, jako że jedno oko Dickiego było całkowicie zapuchnięte.

Ręce Derry'ego krwawiły, poprzecinane wrzynającymi się rączkami noszy. Long podpieirał się gałęzią, usiłując odciążyć bolącą nogę z głęboką raną na udzie. Na twarzy Browna widniała krwawa szrama po uderzeniu, Cavitt miał pokaleczoną szyję i pierś, Talbert czuł, że pod nogawkę od spodni dostały się pijawki.

Meks Cortines przedzierał się z kamiennym balastem przez bagno i nierówne poszycie leśne, i choć dawno już przekazał ciężar Davy'emu, ciągle jeszcze nie czuł rąk i barków. Wnet okazało się, że jeśli chodzi o wytrzymałość, Dave nie może się równać z Meksem. Po kilkuset metrach „ranny lotnik” przeleciał mu przez głowę i runął na ziemię.

Przez chwilę usiłowali go zastąpić Derry i Brown, chwytając za rogi torby i niosąc ją między sobą, jednak płótno co chwila wyslizgiwało się z poranionych palców Williego, a wtedy ciężar wyrzywał się też z ręki Luthera.

Baldinger znowu zarzucił brzemień na plecy, ale teraz w żaden sposób nie mógł nadażyć za pozostałymi. Przez ostatnie dwa kilometry pod kamiennym ciężarem ugiął się znowu Cortines. Sierżant Campbell czekał na nich przed frontem baraków.

– Zbiórka! – rozkazał Campbell i stanąwszy na końcu szeregu rzucił: – Wyrównać mi do cholery, albo zaraz zrobimy sobie dwie godziny ostrej musztry.

Drobniutkimi ruchami usiłowali umieścić czubki butów w idealnie prostej linii.

Sierżant ruszył wolnym krokiem wzdłuż szeregu i zatrzymał się w miejscu, gdzie Meks złożył na ziemię torbę z kamieniami.

– A to co znowu?

– Ranny pilot, panie sierżancie! – krzyknął Cortines.

Campbell pochylił się i pomacał worek.

– Ten człowiek jest mokry – powiedział z udanym zdumieniem. – To nasz ranny bohater. Który z was, skurwysyny, pozwolił wielkiemu Amerykaninowi wpaść do strumienia?

Baldinger odpowiedział, zanim ktokolwiek inny zdążył się odezwać.

– On nie wpał do strumienia, panie sierżancie. To pot, ma wysoką gorączkę. Prawdopodobnie zaraził się malarią od komarów na bagnie.

Campbell wyprostował się, złowieszczo powolnym krokiem ruszył w kierunku Baldingera i stanął z nim twarzą w twarz.

– Uważacie, kapralu, że to bardzo śmieszne?

– Nie, panie sierżancie.

– Dostaliście rozkaz odbicia naszego człowieka. Spieprzyliście sprawę i nieborak jest teraz podziurawiony jak sito. Ale w drodze powrotnej także musieliście coś spierdolić, no i facet znalazł się w bagnie. Chyba jasno się wyrażam, Baldinger?

Dave stał wyprężony na baczność z oczyma utkwionymi przed siebie. Wiedział, że Campbell nie czeka na odpowiedź.

– Wydaje mi się, że jak idioci przyprawiliście go o śmierć. On raczej już nie żyje, kapralu.

Campbell zwrócił się do reszty oddziału: – Kto tu zajmuje się opieką medyczną?

– Ja, panie sierżancie – krzyknął Art Walters.

– Ślicznie, proszę zbadać pacjenta – warknął Campbell. – Chcę wiedzieć, czy wyczuwacie puls.

Art położył rękę na pękatym tobole.

– Nie, panie sierżancie.

Wzrok Campbella znowu spoczął na Baldingerze.

– Jak powiedziałem, zabiliście go, matoly. Umarł przez waszą głupotę.

Baldinger dalej spoglądał w przestrzeń.

– No, a skoro go zabiliście – darł się Campbell – to musicie mu także sprawić należyne pochówek! Więc tak, ty, Baldinger, zaraz wykopiesz grób. A cała reszta dziesięć minut po pobudce w wyjściowych mundurach ma być gotowa do pogrzebu. – Campbell okręcił się na pięcie i odszedł.

– Spocznij – warknął odruchowo Baldinger. Polecił Artowi, żeby zaprowadził Tony'ego i Dickie'go do ambulatorium. Ustalił kolejność wart, w obawie przez niespodziewanym nocnym atakiem ze strony kadry, a sam rozejrzał się za łopata.

– Pomogę ci kopać – zaferował się Mex Cortines.

Baldinger pokręcił głową.

– Nie ma mowy, *amigo*. Dość już się nadźwigałeś tego kurewstwa.

– Nieraz musiałem targać z gór worek kawy na targ – odparł Mex. – Nic wielkiego.

Pułkownik Grigg zasiadł u szczytu stołu. Spoglądał stąd na osiem zebranych par i narzucał ton rozmowy tak, aby mogli w niej uczestniczyć mężczyźni i kobiety. Wszyscy oficerowie przysłuchiwali się Marilyn Daks, kiedy mówiła o potrzebach KRW. Wystarczyło by wspomniała, że marzyliby się jej wielki termometr, który pokazywałby temperaturę na trawniku przed szkołą dla ich pociech, by natychmiast Brian O'Leary zgłosił gotowość sporządzenia instrumentu. Ale i żony z równą skrzętnością reagowały na problemy oficerów. Kiedy Frank Keller, specjalista od broni strzeleckiej, oraz major Jordan, którzy sprawowali opiekę nad Ligą Małych Baseballistów, zaczęli rozwódzić się nad kłopotami z przedpołudniowymi treningami, dwie z kobiet bezzwłocznie zaproponowały, że będą przygotowywać posiłki dla zmęczonych sportowców.

Po skończonej kolacji towarzystwo znowu jednak zaczęło się dzielić, a rozmowy różnicować. Trochę wprawdzie tańczono, ale po powrocie z parkietu kobiety siadały przy stole w swoim gronie, a mężczyźni stawali w kręgu skupionym wokół pułkownika. Grigg mógł przeto podnosić kwestie przygotowane na ten wieczór, zostawiając niewiastom paplanie o tym, o czym zwykły paplać. Przy każdej nowej melodii jeden czy dwóch oficerów odchodziło zatańczyć ze swymi żonami, mimo to grono rozmówców było zawsze dostatecznie liczne, by rozważać pytania związane ze szkołą.

Daksa poprosił o wyjaśnienie sprawy min wielkiej mocy umieszczonych w plastikowych pojemnikach, które Irakijczycy rozmieścili na pustyni. Czy ktoś znalazł sposób na ich wykrycie i unieszkodliwienie? Major udzielił ogólnej informacji o czujnikach przeznaczonych do wykrywania mas plastycznych, nie zaś metalowych pudeł.

Henry Roy wytłumaczył zasadę działania nowego środka, który wodę w strumieniu czynił niezdatną do picia. Nowy materiał, mówił Roy, działa dokładnie tak samo jak bakterie, z których korzystali dawniej, to znaczy powoduje rozwolnienie, zabijające w partyzantach ducha walki, a w wieśniakach ochotę do udzielania im pomocy.

– Problem z dawnym preparatem – ciągnął Henry – polegał na tym, że jeśli głupki nie zorientowały się, co jest przyczyną ich dolegliwości, to odwodnieni z powodu biegunki, nieustannie gasili pragnienie, co mogło skończyć się fatalnie.

Natomiast nowa substancja, ani o włos mniej skuteczna, nie powinna mieć śmiertelnych, skutków. Griggowi podobało się to rozwiązanie: nie zależało mu na ludobójstwie, chodziło jedynie o unieszkodliwienie rebeliantów i ich popleczników.

Brain O'Leary wdał się w dyskusję nad zdjęciami wywiadowczymi. W jego opinii było to zadanie przerastające szkolonych przez nich oficerów.

– Gdyby rzecz polegała tylko na wytłumaczeniu im, jak nadlatywać nad kryjówki partyzanckie i za czym się rozglądać. Ale większość z nich jest z reguły wprost sztywna ze strachu, że znaleźli się nad nieprzyjacielskim terytorium. Chodzi pewnie o to, że tam w jednej rodzinie na dwie jest ktoś, kogo zabili.

Grigg podzielał opinię swego podkomendnego. Nawet jeśli dawało się tamtym fotografie zwiadu satelitarne, nie bardzo wiedzieli, co z nimi począć.

Wieczór upływał i podział na grupy coraz bardziej się utrwał: kobiety w swoim babińcu i oficerowie skupieni wokół Grigga. Opłaceni muzykanci cieszyli się niewielkim wzięciem.

Baldinger pozostawił Meksowi wykończenie dołu, a sam poczłapał do koszar. Musiał zmienić Darry'ego, który stał na warcie na wypadek, gdyby starszemu sierżantowi Thompsonowi przyszło do głowy odegrać nocny napad żółtków. Dali dziś parę razy plamę, więc nie można było na dodatek dać się zaszlachtować w łózkach.

– Stój! Kto idzie?

Derry rozwalił się w sfatygowanym fotelu. Koło jego nóg leżał karabinek szturmowy.

– Masz wolne, Willie – powiedział Davy i usiadł obok. – Teraz ja popilnuję.

Willie wyprostował się.

– Ze mną już zupełnie w porządku. Złapałem drugi oddech. Tak sobie myślałem, że może warto by się zabawić.

Baldinger uśmiechnął się lekko. Kiedy doszli na skraj trzęsawiska, Willie twierdził, że za chwilę padnie trupem ze zmęczenia. Teraz gotów już był do balangi.

– Jutro rano mamy zabawę z tym pogrzebem. Myślę, że żadnemu z chłopaków nie będzie się chciało ruszyć dupy do miasta.

– A czy ja coś mówię o mieście? – wzruszył ramionami Willie. – Mamy fajną muzykę z klubu oficerskiego i trzeba tylko załatwić kilka drinków.

– Chyba ci odbiło – mruknął Baldinger. – Wszyscy są wykończeni...

Szczęknięły drzwi na dole. Derry zerwał się, nałożył kapelusz, chwycił karabin i stanął w wejściu. Ktoś ciężko wspinał się po schodach.

– To Meks – powiedział Davy. Willy cisnął kapelusz na sofę w przeciwległym rogu świetlicy.

– Grób gotowy – oznajmił Cortines, kiedy znalazł się w pokoju. – Potrzebny jeszcze tylko krzyż.

Davy w podzięce przytknął wyprostowaną dłoń do czoła. Latynos zwał się na fotel.

– Ej, Meks, co ty na to, żeby skoczyć do klubu oficerskiego po szampana? – zapytał Derry.

Zapytany spojrzął na kolegę z niedowierzaniem.

– Wiecie co – odezwał się Derry, zmieniając temat – zabrakło nam trochę oleju w głowach. Powinniśmy byli wypierdzielić te bambulce w bagno, zabrać pustą torbę i napełnić ją z powrotem tuż przed obozem. Kto by się zorientował?

– Starszy sierżant Elvis Thompson – mruknął ponuro Baldinger. – Idę o zakład, że jego koleś obserwowali nas przez cały czas.

Przed budynkiem ostro zahamował samochód. Willie znowu rzucił się po broń, podczas gdy Baldinger wyjrzał przez okno.

– To Art – oznajmił uspokajająco. – Jest z nim Dickie.

Dickie Morgan miał bandaż na czole, ale opuchlizna zniknęła i widział już na obydwójce oczu.

– Zatrzymali Tony'ego – powiedział Walters.

– Na noc? – zapytał Derry.

Nowo przybyli z wyraźną ulgą opadli na fotele.

– Na dłużej. Mówią, że chyba pieprznięło mu wiązadło kolanowe. Pewnie się nie obędzie bez operacji.

Baldinger zmarszczył brwi. Skoro wyglądało to aż tak źle, Tony miał z głowy cały kurs. Z rozwalonym kolanem nie będzie już mógł uczestniczyć w zajęciach.

– Szkoda. Chłopak z jajami – mruknął Dave. Reszta przytaknęła. Tony radził sobie bardzo dobrze. Jeszcze cztery tygodnie i otrzymałby wymarzony Zielony Beret i odznakę Odziałów Specjalnych.

Willie zerwał się na równe nogi.

– Skombinuję coś do wypicia. Idzie ktoś ze mną?

– Dokąd? – zapytał z rezerwą Art.

– Willie jest zdania – odezwał się Baldinger – że w Ofklubie dają też na wynos.

– Do cholery, a po co niby to całe szkolenie? – zapalczywie rzucił Derry. – Cichociemy! Pomysłowy! Bezlitosny! W porządku, może nie potrafię odbić pilota z niewoli, ale na pewno potrafię podpieprzyć parę buteleczek koleśiom z klubu oficerskiego!

Morgan wybuchnął śmiechem.

– No to jak, Dickie? Idziesz ze mną?

– Jezu, Willie – wtrącił się Baldinger. – Daj mu spokój, chłopak ledwie widzi.

– A jak ty, Art? – nie ustępował Derry.

– Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł.

– No nic – wzruszył ramionami Derry – jak wrócę, zobaczymy, jaki to dobry pomysł. Coś mi się wydaje, że wszyscy pomogą mi w wypitce.

Ruszył do drzwi.

– Ej, dokąd idziesz? – zawołał za nim Baldinger.

– Poczernić sobie znowu twarz – rzucił Derry przez ramię. – A potem na tyły nieprzyjaciela. Postaram się, żeby Elvis Thompson był dumny ze swych żołnierzy.

– Co wy tam wygadujecie? – zapytała Carol Roy, gdy wreszcie znalazła się wraz z mężem na parkiecie.

– Wiesz, taka tam sobie zawodowa pogawędka – odparł i przyciągnął ją mocno do siebie. – Pułkownik zawsze jest na służbie.

– Zawodowa pogawędka? – syknęła Carol. – Produkcja bomb, zatruwanie wody. Ty naprawdę nie rozumiesz, jakie to robi wrażenie na innych?

– Tematy zajęć kursowych. – Henry Roy próbował się uśmiechnąć, ale nie bardzo mu to wyszło, gdyż przeczuwał już, co dalej nastąpi.

– W jednym rogu sali my mówimy o sprzedaży własnych wypieków, żeby mieć na nowe kredki dla dzieci, a w drugim wy mówicie o truci ludzi. To przecież kompletne wariactwo!

Zanurzył twarz w jej włosach i szepnął: – Będziemy się kłócić czy zatańczymy?

Carol odsunęła się od partnera.

– Mnie jakoś znika ochota na czułości, kiedy w pobliżu zaczyna krążyć śmierć. Nie możesz uwolnić się od tego wszystkiego choćby na jeden wieczór? Nawet na sekundę nie potraficie przestać być zawodowymi mordercami?

Roy rozluźnił uścisk.

– Proszę cię, Carol, nie teraz. Nie zaczynamy wszystkiego od nowa właśnie teraz.

– Więc kiedy? – zapytała wyzywająco. – Kiedy zamierzasz usiąść i zdecydować, czy wolisz uczyć dzieciaki grać w baseballa czy opowiadać generałom, jak zatruwać wodę, którą piją takie same szkraby?

Znowu ją przyciągnął, tym razem jednak nie tyle dla okazania czułości, ile dla uciszenia. Była już po kilku drinkach i jej głos trudno było nazwać szeptem.

– Przeستاńże, wreszcie. Jesteśmy żołnierzami i wypełniamy swoje obowiązki.

Marilyn Daks, która tańczyła tuż obok, nachyliła ku nim głowę. – Moglibyście mnie podrzucić? Nie ma żadnego pośpiechu, ale jak się zdecydujecie, nie zapomnijcie o mnie.

Major Daks znacząco spojrział w kierunku pułkownika Grigga. – Boss, zdaje się, chce mi przedstawić kilka pomysłów. Obawiam się, że to trochę potrwa.

– Z przyjemnością, Marilyn – odparła Carol. – Kiedy tylko będziesz chciała. Mówiąc prawdę, boli mnie trochę głowa i właściwie już teraz mogłabym sobie pójść.

Willie Derry podkraść się brzegiem jeziora do podnóża skarpy, dokładnie poniżej klubu oficerskiego. Cementowa podmurówka ze stalowymi drzwiami do magazynu i oknami zabezpieczonymi metalową siatką znajdowała się jakieś dziewięć metrów wyżej. Przywarł do stoku, chwycił zwieszającą się nad nim gałąź i rozpoczął wspinaczkę.

Co mu strzeliło do głowy, że się w to wpackował? Gdyby miał choć trochę pomysłu, skorzystałby z sugestii Baldingera i wałnął się do łóżka. Ale to przecież nie w stylu Willie Derry'ego, pomyślał drwiąco. Zawsze muszę mieć ostatnie słowo, albo wpaść na najzabawniejszy pomysł. Do diabła, po cholere właściwie drapie się po skarpie pod pieprzonym klubem oficerskim? Przecież tak naprawdę wcale nie miał ochoty na picie, a chciał tylko pokazać, że w dupie ma wojsko z jego hierarchią godności i przywilejów. Ale jeśli naprawdę nic go to nie obchodziło, to co właściwie robił w Fort Francis Marion? Nikt go nie zmuszał do oddziałów specjalnych, nikt nie dostarczył go związanego do dywizji. Całymi miesiącami naprzykrzał się sierżantowi i porucznikowi, żeby go tutaj skierowano. Dlaczego więc teraz strugał chojraka? Z pokaleczonych dłoni zaczęła się sączyć krew, podeszwy stóp znowu rozboleły. A może zrobić w tył zwrot i wrócić do koszar?

Był w połowie zbrocza, kiedy nagle muzyka umilkła. Usłyszał kroki na tarasie nad sobą i pomyślał, że skrada się pod nosem najważniejszych osób w Forcie Węży. Wystarczy, by ktoś uważnie spojrział w dół, a Willie Derry pakuje już manatki. Jak miał się tłumaczyć? Kolejny etap ćwiczeń?

Zastygł w bezruchu, bojąc się głębiej odetchnąć, by nie poruszyć choćby listka. Potem ostrożnie uniósł głowę i... nie mógł uwierzyć własnym oczom. Dokładnie nad nim stały dwie kobiety, a przed jego wzrokiem odsłonił się niczym nieprzesłonięty zarys ich nóg, aż po majteczki. O kurczę, pomyślał, gdyby mnie teraz złapali, mogliby oskarżyć o podglądactwo. „Zaspokajaliście swoje lubieżne chucie, naruszając intymność żon oficerskich”, wyobraził sobie podniesiony głos prokuratora. „Nie, nie”, próbowałby się bronić, „chciałem tylko podpieprzyć trochę alkoholu”. Miałby szczęście, gdyby wykręcił się dziesięcioma latami ciężkich robót.

Orkiestra zagrała tusz, a z góry doleciały okrzyki i śmiechy. Panie zniknęły wraz ze swymi partnerami w sali tanecznej. W niemal ogłuszającym huku rockowej muzyki Willie pokonał ostatni fragment stoku i przywarł do podmurówki. Dalej, dalej, przynaglał siebie, taka szansa może się nie powtórzyć. Przy grzmocie orkiestry i dziarskich okrzykach tancerzy, mógł wyważyć okno do magazynu bez zwrócenia na siebie niczyjej uwagi.

Sięgnął za pas i wy dobył nożyce do metalu, którymi zaczął przecinać zabezpieczającą siatkę na oknie. Uporał się już z połową, gdy narzędzie wysunęło mu się z rąk, a kiedy schylił się po nie, zobaczył, że krwawia mu obydwie dłonie.

Nadciął zabezpieczający ekran z trzech stron, a potem odgiął go w bok. Przesunął ręką po szklanej tafli, aby upewnić się, że na ma żadnych systemów alarmowych, poczekał na werbel perkusji podkreślony mocnym akordem gitary basowej i jednym uderzeniem zbił szybę. Sięgnął do środka, przekręcił klamkę i wsunął się przez otwór. Trzy minuty później był już znowu na zewnątrz; nachylił się do środka i ostrożnie wy dobył płócienna torbę, bardzo dbając o to, by nic w niej nie brzęknęło. Doginał znowu ochronną siatkę, kiedy mu-

zyka nad nim umilkła. Derry zamarł bez ruchu słysząc, jak zmęczeni tancerze wychodzą na taras, by zaczerpnąć powietrza. Raz jeszcze stał się niespodziewanym widzem pokazu damskiej bielizny, prawdopodobnie ostatnie tego typu widoki, gdyby miał wylądować w Fort Leavenworth. Gorąco pragnął znaleźć się już jak najdalej stąd, na razie jednak nie pozostawało mu nic innego niż czekać cierpliwie na kolejną porcję hałasu orkiestry. Ostrożnie sięgnął do torby i cichutko odkręcił znajdującą się na wierzchu butelkę. Teraz bardzo już chciał się napić.

Warta Baldingera trwała dalej na szczycie schodów, kiedy w drzwiach na dole pojawił się Derry. Dickie, Art i Bobby leżeli rozwaleni na fotelach, Meks lekko pochrapywał. Jim Ray ułożył się na podłodze, żeby rozprostować plecy.

– No, ruszyłeś dupy – powiedział Willie, stając na środku pokoju i podnosząc do góry zdobyczną torbę.

– Jezu, wykrwawisz się na śmierć – jęknął Walters. Ręce Derry’ego były czerwone, a na spodniach widniały ciemnopurpurowe smugi.

– Mam tu lekarstwa – oznajmił Willie i teatralnym gestem zaczął wyciągać butelki, jedną po drugiej. Miał dwie flaszki bourbona, jedną dżinu i jedną rumu. – Każdy znajdzie tu coś na swoje rany.

– Nie wzięłeś niczego do zrobienia koktajli – wytknął koledze Bobby Long, sięgając po rum.

– I nie ma nawet kostki lodu? – skrzywił się Baldinger.

Derry zastygł w pozie udanego osłupienia.

– Koktajle? Lód? Miałem wrażenie, że jesteśmy leśnymi wojownikami, którzy żywią się mchem zdrapanym ze skał i korą drzew. Coś mi się wydaje, cipuchny, że następnym razem pošlecie po ćwiarteczki pomarańczy i papierowe parasolki.

Nalali do tekturowych kubeczków, które stały na zlewie.

– Za zmarłego pilota – wznosił toast Derry.

Dickie Morgan pokiwał głową.

– Wydaje mi się, że podziurawiłem tego biednego skurwysyna jak rzeszoto.

– Powinien ci za to być wdzięczny – zapewnił Mex.

– Ale zabiłem go – obstawał przy swoim Morgan.

– Wzięli go do niewoli i nigdy by go już nie wypuścili. Lepiej, że umarł.

– Porozmawiaj o tym z sierżantem Thompsonem – zachichotał Baldinger. – Ten nie wie, czemu lubi, żeby jeńców zachowywać przy życiu.

– Gdyby to o mnie chodziło – powiedział Cortines po sekundzie zastanowienia – wołałbym umrzeć. Nie zniósłbym gnicia w zamkniętej celi.

Derry nalał sobie drugiego drinka.

– Dobrze wiedzieć, Meks. Nigdy nie będę nadstawiał dupy, żeby cię wyratować.

– Nie myśl, że w ogóle czekałbym na twoje zlitowanie, przyjacielu – oświadczył buńczucznie Meks. – Facetowi, który usiłowałby mnie wpakować do celi, rzuciłbym się do gardła.

– Jasne, a on zrobiłby ci dziurkę w mózgu – powiedział Tom.

– I w porządku. Wołałbym zdechnąć. – Cortines wychylił rum.

– Mówiąc szczerze, już jestem jak nieżywy. Idę się wałnąć.

Dickie popatrzył za znikającym w drzwiach Cortinesem i także się podniósł.

– Meks ma rację. Trzeba się przespać. To morderczy kurs.

– Pierdolony kurs – warknął z wściekłością Art. W świetlicy nagle zapadła cisza, a on popatrzył po twarzach pozostałych.

– Chłopaki, spójrzmy tylko na siebie. Twarz Dickie’go wygląda tak, jakby stoczył dziesięć rund z Tysonem, Willie ma skórę poprzecinaną do kości, Tony’ego czeka operacja.

Papierowy kubek wysliznął się Willie'emu z palców i bourbon pociekł po kolanach. Reszta ryknęła śmiechem, a pechowiec ponuro pokiwał głową.

– Mam tak spieprzone łapy, że nawet już nie mogę utrzymać drinka. O rany, chłopaki, przecież oni nas kompletnie gnoją. A po co? Żebyśmy nauczyli się walczyć z żóltkami. Kurczę blade, ostatni żołnierz Wietkongu poszedł na emeryturę, kiedy miałem dwa lata. Moim zdaniem, ta cała szkoła to jedno wielkie gówno.

– Będziemy też ćwiczyli walki na pustyni – przypomniał Bobby.

– Ekstra – prychnął Willie. – Tak ci się pali do tego, żeby ratować harem następnego szejka?

– Może nauczą nas walk ulicznych, żeby w razie czego ratować Detroit – uśmiechnął się Luther.

– Byłoby to sto razy lepsze od hipnotyzowania wzrokiem węży – obruszył się Derry.

Zaśmieli się ponuro. Wszyscy byli podobnie krótko ostrzyżeni, gładko ogoleni, mocno umięśnieni, ubrani w dopasowane mundury, a przecież tak różnili się od siebie. Baldinger był jasnym blondynem z lowy, absolwentem koledżu i znakomitym sportowcem, który wstąpił do Armii, gdyż w inny sposób nie mógłby pozwolić sobie na wyższe studia. Do rywalizacji w wojsku podszedł z taką samą pasją jak do szkolnej rywalizacji w futbolu i baseballu: wszędzie i zawsze chciał być pierwszy. Willie był irlandzkim spryciarzem z Bostonu, który tak długo był upokarzany przez zakonnice i zakonników w sierocińcu, aż podrosł na tyle, że potrafił oddać. Szybkim prawym prostym rozciągnął na podłodze wielebnego ojca Tymoteusza, kierownika liceum prowadzonego przez zakonników, który w noc przed zakończeniem ostatniego roku szkolnego nakrył go na dolewaniu rumu do lemoniady owocowej. Nikt nie zatroszczył się o zaproszenie go na uroczystość wręczenia dyplomów. Luther był dzieckiem ulicy, wychował się w tej części Harlemu, gdzie kwitł nieskrępowany handel narkotykami. Nie skończył szkoły podstawowej, gdyż nie miał ojca, który by go przypilnował, a już jako czternastolatek uzyskał intratną propozycję pracy dla jednego z bossów narkotykowych. Zaproponowano mu wojska lądowe zamiast sprawy sądowej i więzienia po tym, jak schwytano go na East River Drive pędzącego sto osiemdziesiąt kilometrów na godzinę skradzionym Porsche.

Jim Ray Talbert i Bobby Long pochodzili z niewielkich miasteczek górskich w Zachodniej Wirginii i Tennessee. Jim Ray, śmiertelnie znudzony wymianą opon i nalewaniem benzyny, zaciągnął się do wojska w nadziei na jakąś interesującą odmianę. Bobby uciekł z wąskiego skrawka skalistego gruntu, na którym trudno było cokolwiek wyhodować; uciekł od pracy wyginającej plecy w kabłak i ojca, który szydlerczo powtarzał, iż „taki leń do niczego w życiu nie dojdzie”.

Dickie Morgan pochodził z Kentucky i wydawało się, że jak wszyscy mężczyźni w trzech ostatnich pokoleniach, spędzi życie pod ziemią, wydobywając węgiel. Wojsko wydało mu się jedynym rozwiązaniem, kiedy po zamknięciu kopalni nie mógł znaleźć żadnej pracy w opustoszałym miasteczku. Tom Cavitt uznał, że Armia jest znacznie lepsza od posady kasjera w należącem do stryja sklepie z żelastwem w Toledo w stanie Ohio. Tony LaRocca był synem zawodowego oficera; znał tylko żołnierskie życie i nigdy nawet przez chwilę nie rozważał możliwości innej kariery. Meks najprawdopodobniej był imigrantem i sierotą, ale nikt z nich nie wiedział tego na pewno. Nie lubił opowiadać o swojej rodzinie, ale zdarzające się od czasu do czasu wspominki o twardym życiu skłaniały do przypuszczenia, że Cortines poszukał w wojsku ucieczki przed losem wędrownego parobka. Arta Waltersa po śmierci rodziców wychowywały dwie ciotki, stare panny. Był spokojny i pilny, opiekunki upatrywały już w nim lekarza lub może prawnika. Spędził rok na Uniwersytecie Wisconsin, ale potem uznał, że jak na razie najważniejszą dla niego rzeczą jest wyzwolenie się spod opieki obydwu panien. Miał nadzieję, że po odbyciu służby, będzie mógł wrócić na uczelnię, tym razem nie zależąc już od nikogo.

Armia dla każdego z nich stanowiła coś innego. Karierę zawodową. Ucieczkę. Tymczasowe schronienie. Źródło pieniędzy. Ale w tej chwili znaczyła dla nich jedno i to samo: ból, znużenie, gniew.

– Gdybym miał trochę rozumu w głowie – mruknął coraz bardziej pijany Willie Derry – wypisałbym się rano z tego burdelu. Tyle jest wygodnych miejsc w piechocie.

– Całe szczęście, że brak ci rozumu – pocieszył go Tom Cavitt, wzbudzając wesołość kolegów. Art Walters zaraz jednak spowaźniał.

– Słuchajcie, mnie naprawdę się wydaje, że w tym wszystkim nie ma zbyt wiele sensu. – Spojrzał na Baldingera, który był dla nich swego rodzaju wyrocznią. – Jak myślisz, Dave?

Tamten zerknął na Derry'ego.

– Willie miał chyba zły dzień.

– Jak jasna cholera – zgodził się autor niedawnej wycieczki.

– Tyle że Willie lubi złe dni – ciągnął Baldinger. – Gdyby był jakiś kurs gorszy od tego, nasz przyjaciel już by tam był.

– Góóówno – powiedział Derry, głośno i lekko już bełkotliwie.

– Zastanów się tylko, bracie – obstawał przy swoim Dave. – Sami zgłosiliśmy się do wojska, chociaż mogliśmy spokojnie siedzieć na dupie w domu.

– Nie wszyscy mieli dom – wtrącił Luther.

Dave pokiwał głową ze zrozumieniem, potem jednak dalej ciągnął swoją myśl: – I tak siedzieliśmy sobie w swoich jednostkach, nie robiąc nic szczególnie ciekawego, kiedy nagle dowiedzieliśmy się, że jest taki kurs, na którym uczą skakać na spadochronach z samolotów. Po jaką cholere zgłosiliśmy się do tego? Przecież wyskakiwanie z samolotu to nie jest coś normalnego.

– To coś szczególnego – powiedział Brown, jak gdyby taka odpowiedź wyjaśniała wszystko.

– Jasne – przytaknął Baldinger. – Jak już znaleźliśmy się w Armii, nie wystarczy nam to, że jesteśmy po prostu dobrymi żołnierzami. Chcemy jeszcze czegoś szczególnego.

– Chcieliśmy po prostu zobaczyć, jak to jest – spróbował Tom.

– Wcale nie – sprzeciwił się Dave. – Czy aby nie sami zgłosiliśmy się do desantu na Irakijczyków? Co w tym było znowu takiego fascynującego?

– Ja tam się nie zgłosiłem – mruknął Jim Ray. Baldinger popatrzył na niego zmrużonymi sceptycznie oczyma. – No dobra, niech ci będzie, formalnie rzeczywiście poszedłem na ochotnika, ale w praktyce wyglądało to tak, że przed frontem kompanii stanął kapitan i powiedział: „Zgłosiliśmy się do skoków w Kuwejcie. Kto nie ma na to ochoty, wystąp!”. No i co, miałem olać całą resztę chłopaków?

– A potem – ciągnął Baldinger – usłyszeliśmy, że jest taka szkoła, gdzie zrzucają cię na tyłach przeciwnika i radz sobie sam. Więc co zrobiliśmy? Może zabraliśmy papiery i wróciliśmy do swoich dziewczyn? Nie, na ochotników zgłosiliśmy się tutaj. – Chwilę pomilczał i dodał: – Co mówię, na ochotników? Założę się, że każdy obcałował dupę jakiegoś oficerka, żeby tylko dostać tutaj skierowanie.

Luther wysączył do ostatniej kropelki swego drinka.

– No dobra, Dave! Chodzi ci o to, że wszyscy jesteście świry?

– Jutro skoro świt zerwiemy się, żeby odprawić modlitwę nad workiem kamieni. – Dickie Morgan przeciągnął się. – Chyba rzeczywiście mamy lekkiego fioła.

– To nie fioł – zaprotestował Baldinger. – Każdy z nas stara się czegoś dowieść.

– Czego? – zapytał Art.

Dave podniósł dłonie do góry.

– Nie wiem. Może tego, jacy to z nas twardziele.

– A komu niby musimy tego dowieść? – mruknął Luther.

– Niech mnie diabli, jeśli wiem – pokiwał wolno głową Baldinger. – Jedno tylko mogę powiedzieć. Jeśli zdarzy się kurs bardziej cholerny od tego, tak cholerny, że co roku będą przyjmować tylko jednego faceta, każdy z nas zrobi wszystko, żeby zostać tym wybranym.

– Pieprzysz – wybełkotał Derry, napełniając kubek i rozlewając sobie bourbona na spodnie. – Chyba nie sądzisz, że może być gdzieś szkoła bardziej cholerna od tej, co?

Przez całą drogę z klubu do domu Marilyn Daks nie zamykały się usta. Z ramionami opartymi na obu przednich siedzeniach, nieustannie spoglądając to na Henry'ego to na Carol, punkt po punkcie omawiała wieczór i rozplątywała się nad gościnnością pułkownika Grigga. Jak się wydawało, najmniejszego znaczenie nie miało dla niej to, że pułkownik zaszczycił ją ledwie kilkoma słowami, zaś mąż, który przez cały wieczór zatańczył tylko dwa razy, całą uwagę poświęcił swemu zwierzchnikowi.

Henry skręcił w uliczkę o pomalowanych na biało krawężnikach i zatrzymał się przed małym ceglany domkiem ze spadzistym dachem. Był identyczny jak domki innych starszych oficerów, ustawione w równych szeregach po obydwu stronach ulicy. Domek kapitana w następnej przecznicy był bardzo podobny i brakowało w nim jedynie garażu po jednej stronie i oszklonego ganku po drugiej. Dodatkowe udogodnienia otrzymywało się dopiero wraz z awansem.

Henry podał rękę Marilyn i odprowadził ją do drzwi, podczas gdy Carol krążyła po podjeździe tam i z powrotem. Szukając kluczy, Marilyn powiedziała – Carol chyba nie bawiła się najlepiej. – Ton głosu sugerował, że nie była to tylko zdawkowa uwaga.

– Cóż znowu – zaprotestował kapitan Roy – Bardzo lubi, jak spotykamy się w swoim gronie.

Pani Daks podała klucz, a kiedy Henry usiłował wymacać zamek, powtórzyła: – Wątpię, żeby naprawdę jej się to podobało, kiedy pułkownik zagarnia męża na cały wieczór. Ja w każdym razie nigdy tego nie lubiłam. Można by jej jednak zasugerować, żeby przynajmniej próbowała udawać. Szczególnie jeśli zależy ci na karierze w wojsku.

– Nie, naprawdę myślę, że było jej bardzo miło.

– To wspaniale – odparła Marilyn. – Bardzo lubię Carol. I bardzo lubię ciebie, Henry. Mam nadzieję, że podobnie zapatrujecie się na przyszłość. Pamiętam, że przez kilka lat nie mogłam sobie wyobrazić, iż miałabym spędzić resztę życia w jednostkach wojskowych. Wcale mnie to nie bawiło.

Zamknęła drzwi, zanim Henry zdołał cokolwiek odpowiedzieć.

Małżonkowie bez słowa wsiedli do samochodu. Henry włączył silnik, wóz robiąc nawrót podskoczył na krawężniku; zajechali pod dom w milczeniu. W środku ona ruszyła do sypialni, on do barku w saloniku. Po chwili Carol powróciła w szlafroku, a Henry siedział już w tym czasie w fotelu, z nogami na stoliku do kawy i drinkiem w ręku.

– Czy musisz się zachowywać tak demonstracyjnie? – zapytał oskarżycielskim tonem.

Popatrzyła na niego z bezbrzeżnym zdumieniem w oczach.

– Cholera jasna, równie dobrze mogłabyś im wprost powiedzieć, że ich nie znosisz.

– Kogo?

– Jak to kogo, wszystkich! Pułkownika. Całą kadre. Żony oficerów. Wszystkich! Było jasne, że nie możesz z nimi wysiedzieć.

– Wydawało mi się, że ukrywam to zupełnie dobrze.

Przełknął porządną łyk.

– Marilyn wie, że masz ich wszystkich dość.

– To zabawne – roześmiała się Carol – bo widziałam, że i Marilyn nie może tam wysiedzieć. To prawdziwa dama, jak mogło jej się podobać to, że mąż ją kompletnie ignoruje?

– Ale ona ma przynajmniej trochę szacunku dla pracy swego męża – rzucił wyzywająco.

Kobieta popatrzyła z niedowierzaniem.

– Szacunek? O czym ty mówisz? Na miłość boską, Henry, major Daks zajmuje się rozrywaniem ludzi na strzępy. Facetów, którzy przyjeżdżają tu z zagranicy, uczy, jak mają zamianować swoje kraje. Myślisz, że Grace Jordan z szacunkiem myśli o swoim mężu, który tłumaczy, jak najlepiej torturować?

– Zajmujemy się specjalnymi technikami wojennymi – warknął, zerwał się i podbiegł do barku.

– Wiem, tak to nazywacie – rzuciła mu w plecy. – To taka niewinna nazwa. Ale dzisiaj przez cały wieczór mowa była o bombardowaniu, truciu i mordowaniu. Zupełnie jakbyśmy poślubiły czterech jeźdźców Apokalipsy. Siedzicie tam przy stole w kapturach, z kosami w rękach. A my mamy się zabawiać w najlepsze?

Odwrocił się pełen wściekłości i wierzchem dłoni uderzył żonę w policzek. Głowa Carol odskoczyła pod impetem ciosu, ale ona sama nie cofnęła się nawet o krok. Patrzyła Henry'emu prosto w oczy, on zaś zamrugał, zdumiony tym, co zrobił.

– Carol... – odezwał się niepewnie.

Z wyrazem obrzydzenia na twarzy odwróciła się i zniknęła w sypialni, zamykając drzwi za sobą.

Dopiero godzinę później Henry odważył się nacisnąć klamkę i podejść do łóżka, przy którym paliła się lampka. Przykryta po uszy kocem, Carol leżała odwrócona do niego plecami. Przycupnął na brzegu.

– Carol – szepnął. Nie odpowiedziała, ale nie liczył na to, chociaż wiedział, że nie śpi. – O Boże, strasznie przepraszam. Nie mam pojęcia, co we mnie wstąpiło. Dobrze wiesz, że nigdy dotąd cię nie uderzyłem.

Milczenie. Ten sam równy oddech.

– Po prostu na tym polega moja praca. Jestem oficerem. Chcę zająć w Armii jak najwyżej. To moja wielka szansa. To przyszłościowa jednostka. Pułkownik Grigg ma przed sobą wielkie perspektywy i może mnie pociągnąć za sobą. Kiedy powiedział Daksowi, że chce z nim trochę porozmawiać, poczułem, że mnie olewa. Przestraszyłem się, że moje szanse lecą w dół. A kiedy wydawało mi się, że ciebie nic to nie obchodzi, coś mnie opętało. Wiesz przecież, że wcale nie chciałem tego zrobić.

Westchnęła i mocniej wtuliła twarz w poduszkę.

– To rodzaj gry – ciągnął Henry. – Wiem, że nie znosisz tej całej ceremonialności, hierarchii, zwyczajów. Ale gdybyś mogła przynajmniej udawać. Właśnie coś takiego starała mi się powiedzieć Marilyn. Że zbyt widać twoją niechęć, a to szkodzi naszej przyszłości.

To była rzeczywiście gra i wiele już razy rozmawiali na ten temat. Carol wyraźnie oświadczyła, że nie zamierza podlizywać się żonom zwierzchników męża. Nie będzie zrywała się na równe nogi, ilekroć w pokoju pojawi się połowica pułkownika takiego-to-a-takiego ani nie będzie z zapałem brała się do urządzania rabatek tylko dlatego, że takie jest hobby małżonki dowódcy jednostki. Henry odpowiadał, że tak samo jest we wszystkich innych dziedzinach.

– Przecież zawsze jest tak, że kiedy głos zabierają żony szefów, żony podwładnych udają wielkie zainteresowanie.

– Zgoda – odpowiadała Carol – ale oni nie żyją razem cały czas, tak jak w wojsku. Nie muszą udawać przez cały boży dzień.

Dzisiaj Carol nie podjęła wyzwania. Leżała bez ruchu z twarzą schowaną pod kocem.

Wstał i zaczął się rozbierać, starannie umieściwszy na wieszaku spodnie i dopiąwszy wszystkie guziki kurtki. Zdjął z niej baretki i umieścił w szkatułce. Zanim ustawił buty w szafie, wcisnął do nich prawidła. Z dolnej półki wyjął nową piżamę, nałożył, starannie wygładził poły w spodniach i dopiero wtedy wśliznął się do łóżka.

Przysunął się do Carol i ucałował jej włosy.

– Strasznie mi przykro, naprawdę – mruknął. – Nie bądź na mnie zła.

Czekał przez chwilę na odpowiedź, a potem obrócił się i zapatrzył w ścianę. Upłynęła jakaś minuta, zanim usłyszał głos zduszony przez pościel.

– Nie jestem na ciebie zła, Henry. Jestem zła na to, co się z tobą dzieje.

Wsluchany w słowa pułkownika Grigga, major Daks kiwnął na kelnera. Monolog szefa trwał już jakiś czas i nic nie wskazywało na to, by miał się rychło zakończyć. Następny drink będzie nie od rzeczy.

Mniej więcej dwie godziny temu pułkownik Grigg rozpoczął od ogólnych uwag na temat konieczności zrewidowania programu. Świat się zmienia i poczynania oddziałów specjalnych muszą się dostosować do tych zmian.

– Nie przypuszczam, żeby znowu nas rzucili do Azji Południowo-Wschodniej – deliberował pułkownik. – Niewiele też można się spodziewać po Ameryce Środkowej. – Daks przytaknął. – Dlatego – ciągnął Grigg – może powinniśmy zrezygnować z ćwiczeń w dżungli. Chodzi mi o to, że trzeba się zastanowić, gdzie dzisiaj są miejsca zapałne. Bliski Wschód. Południowa Europa. Może nawet stare republiki sowieckie. Ale tam, cholera, nie ma żadnych lasów tropikalnych.

– To prawda, panie pułkowniku – zgodził się Daks. – Ale musimy także mieć na uwadze to, gdzie jutro pojawią się miejsca zapałne. To może być Ameryka Południowa. Albo Afryka.

– Jasne. Nie chcę wcale zrezygnować z ćwiczeń, które teraz prowadzimy. Musimy jednak je wzbogacić; trzeba ostro zabrać się za walki w warunkach pustynnych, może także za odbijanie jakiegoś pieprzonego miasteczka na Bałkanach. O to właśnie mi chodzi. Musimy mieć pewność, że Oddziały Specjalne potrafią przeprowadzić każdą możliwą akcję. Musimy być gotowi od odbicia sprzymierzeńców w dowolnym kraju.

Teraz Grigg zaczął rozpatrywać szkolne przedmioty jeden po drugim, tłumacząc szczegółowo, jak sobie wyobraża ich wzbogacenie. Był właśnie przy O'Learym i wywiadzie, kiedy pojawił się kelner z dwiema szklaneczkami bourbona.

– Jezu, ile już tego było? – zapytał Grigg, przerywając tok swego wywodu. Podnosząc napitek, zerknął też na wielofunkcyjny zegarek. – Dasz wiarę, już po pierwszej. Przepraszam, twoja żona będzie wściekła.

– Nie ma strachu, panie pułkowniku – zapewnił Daks. – Marilyn wie, że to ważne sprawy.

Grigg podpisał rachunek, nawet na niego nie spojrzawszy i dopił trunek, a potem odsunął się od stołu.

– Przeproś ją ode mnie. Powiedz jej, że jak zacznę mówić o szkole, tracę poczucie czasu.

– Tak samo jest ze mną – oznajmił Daks i śladem zwierznika podążył ku wyjściu.

Corvette pułkownika czekała już przy krawężniku. Wystarczyło, by Grigg wstał od stołu, a dzwonek naciśnięty przez kelnera zawiadomił jednego z żołnierzy trzymających wartę na zewnątrz. Zanim Bronco Daks pojawił się na podjeździe, pułkownik już gnał przez plac musztry.

Major nie miał powodu, by martwić się późnym powrotem do domu. Bynajmniej nie dlatego, że Marilyn wysoce sobie ceniła jego pracę. Przestała się przejmować kilka lat przedtem, gdy zgłosił się na doradcę armii salvadorskiej. Miał do wyboru robotę sztabową w Niemczech albo wyprawę do zapomnianej przez Boga górzystej krainy – wybrał góry. Zamiast wyjazdu do cudownej Europy ogłoszona została deklaracja patriotyczna. „Tam się teraz wszystko rozgrywa”, mówił. „Jeśli ich tam nie powstrzymamy, następną linią obrony będzie Rio Grande. A poza tym, to tylko dwadzieścia dwa miesiące”, co, jak uznała, jest żołnierską formułą dla „dwóch lat”. Wepchnęła z powrotem do szuflady prospekty biur turystycznych, pomachała mu na lotnisku i wróciła do pustego domu, który już zawsze odtąd był pusty.

Daks myślał o nocnej rozmowie, objeżdżając plac musztry. To szczęście, że zdarzyło mu się pracować z Griggem. Pułkownik już teraz szykował się do nowej epoki w dziejach Oddziałów Specjalnych.

Partyzanckie talenty, nieodzowne, kiedy się działa na tyłach przeciwnika, nigdy nie były w cenie pośród szych wojskowych. W Pentagonie zawsze najbardziej liczyła się wielkość zamówień, co znaczyło, że czołgi, bombowce i lotniskowce darzono znacznie większą uwagą niż noże komandoskie i karabinki szturmowe. Im mocniejsze salwy armatnie, tym błyskotliwsze kariery. Cicha wojna, sądzono, nie pomaga w awansach.

Tymczasem w Wietnamie okazało się, że czołgi i moździerz mają ograniczoną wartość. Nieprzyjaciel nigdy nie stworzył solidnej linii frontu, którą mógłby przełamać atak czołgów, nigdy też nie miał sprzętu wartego tyle chociażby co jeden nabój. Była to wojna zasadzek, oszustw i politycznych intryg, w której potrzeba było nowej armii. Zrozumiał to prezydent Kennedy, który uczynił Zielone Berety równoprawną formacją wojsk lądowych.

Prezydent Johnson miał znacznie bardziej konwencjonalne zapatrywania na wojnę. W jego opinii, kluczem do zwycięstwa była naga siła. Tonaż bomb i liczba ofiar były czymś znacznie bardziej wymiernym niż sympatia wieśniaków. Uczucia ludności cywilnej zostały uznane za mało istotny dodatek do jąder, które należało coraz mocniej wkręcać w imadło. Generalskie epolety znowu zajaśniały w pełnym świetle, a zielone berety pochowano do szuflad.

Sprawy międzynarodowe przybrały jednak zupełnie nieoczekiwany obrót. Do niewoli pojmany został personel amerykańskiej ambasady, wobec czego regularne formacje okazały się zupełnie bezradne. Kiedy prezydent Carter zażądał przeprowadzenia operacji specjalnej, okazało się, że Armia USA nie ma się czym pochwalić. Grupa wyznaczona przez Kolegium Szefów Sztabów do odbicia zakładników w Iranie poniosła kompletną klęskę. Za kadencji kolejnego prezydenta ogromne siły, które zaatakowały niewielką wyspę Grenada, dały popis nieudolności w stylu policjantów z komedii Maca Senetta. Konieczność stworzenia oddziałów, które potrafiłyby przeprowadzić nietypowe akcje stała się boleśnie oczywista. Kongresmeni postulowali wręcz utworzenie oddzielnej gałęzi sił zbrojnych, która miałaby takie same prawa jak wojska lądowe, marynarka i lotnictwo. Szefowie Sztabów wpadli w panikę. Niezależnie jednak od padających argumentów, dla Zielonych Beretów znowu nastały dobre czasy.

Grigg natychmiast zwiertzył okazję. Jego ciche oddziały zwalczające partyzantów zyskiwały na popularności, rósł też widocznie ich udział w budżecie Armii. Jak jednak sam wyznał dziś wieczorem, ich przydatność stawała się problematyczna, jeśli żołnierze mieli być przygotowani tylko do potyczek w dżungli. Senatorowie i kongresmeni zaczęli się dopytywać, co za korzyść z żołnierzy zaprawionych w walkach w podmokłych lasach. „Bo jeśli chodzi o Bliski Wschód”, mówił reprezentant stanu, który chlubił się fabryką silników samolotowych, „to czy aby bardziej przydatne nie byłyby tu lekkie helikoptery?” A generałowie z tradycyjnych rodzajów wojsk tylko przytakiwali.

Grigg tak chciał rozbudować wachlarz operacji, do których zdolne będą Oddziały Specjalne Armii, żeby mogły sprostać każdemu zagrożeniu. A to otwierało także perspektywy przed jego współpracownikami. Kiedy przełożeni dodadzą Griggowi jedną gwiazdkę, znajdzie się też może jedna w zapasie dla Daksa. Z pewnością. Grigg to facet, na którego warto stawiać.

Wykręciwszy w uliczkę, Daks zgasił światła. Sypialnia była od frontu i nie chciał budzić Marilyn. Ani przez chwilę nie pomyślał, że mogłaby na niego czekać. Wyłączył silnik i na jałowym biegu podtoczył samochód pod garaż. Zaciągnął ręczny hamulec i przekręcił klucz.

Położył właśnie rękę na klamce, kiedy oślepiło go białe światło i usłyszał huk, tak nagły i głośny, że wręcz bolesny. Rozpaczliwie zaczął szarpać się z pasem bezpieczeństwa, aż nagle wyleciał przez drzwi. Major Daks został ciśnięty o ścianę swego domu dokładnie w tym

momencie, kiedy maska jego wozu uderzyła w dach garażu. Prawy zderzak jak dłuto przeciął prawą podpore.

Rozpaczliwy krzyk Daksa zamilkł pod walącymi się belkami.